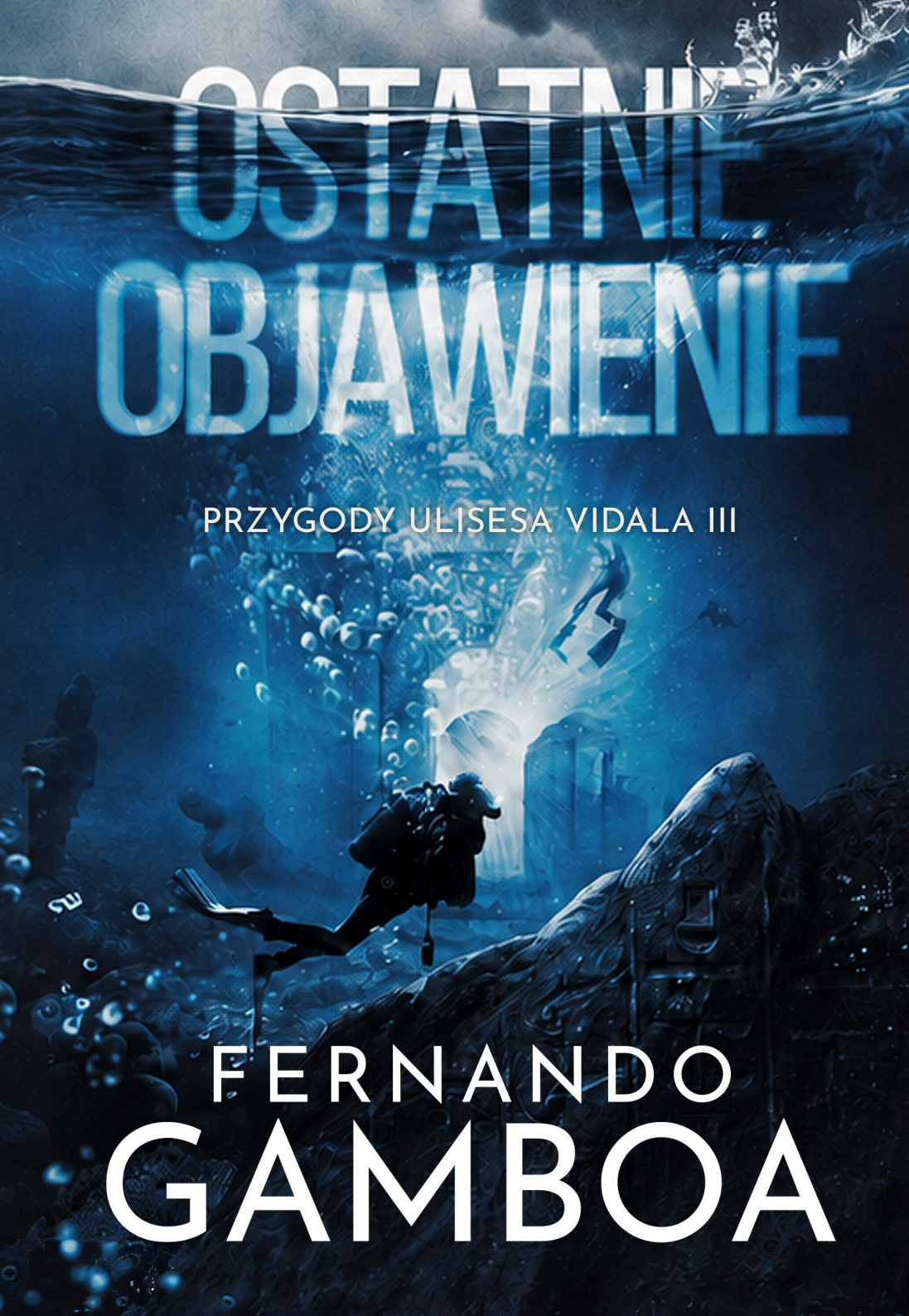

OSTATNIE
OBJAWIENIE
PRZYGODY ULISESA VIDALA III
FERNANDO
GAMBOA

OSTATNIE OBJAWIENIE

Original work copyright:
©Fernando Gamboa González
Tytuł oryginału:
La última revelación

Tłumaczenie: Piotr Jarco

Redakcja i korekta: Barbara Lewandowska,
Natalia Grzeszczak-Ciecierska

Skład i łamanie: Piotr Jarco

ISBN: 978-83-981535-8-4 (druk)
ISBN: 978-83-984210-1-0 (audiobook)
ISBN: 978-83-981535-9-1 (EPUB)
ISBN: 978-83-984210-9-6 (MOBI)
ISBN: 978-83-984210-0-3 (PDF)

Niniejsza powieść jest dziełem fikcji, a występujące w niej postacie
są wytworem wyobraźni autora.

www.autornia.com
e-mail: hola@autornia.com

Copyright ©2026 by Studio Link Piotr Jarco
Polska, 2026

OSTATNIE OBJAWIENIE

PRZYGODY ULISESA VIDALA III

FERNANDO GAMBOA

Cervantes mawiał, że „kto wiele czyta i dużo po świecie jeździ, siła widzi i siła umie".

Jeśli więc ta powieść zabierze Cię w podróż do miejsc, w których nigdy nie byłeś, uznam, że oba cele zostały spełnione.

Dziękuję, że wędrujesz razem ze mną.

FERNANDO GAMBOA

CZĘŚĆ I

Dziennik

1

Tunel tonął w ciemności.

Lodowata, cuchnąca woda sięgała mi do kolan, wypełniając to bezkresne miejsce.

Dalej rozciągała się jedynie nieprzenikniona, niemal namacalna i lepka jak ropa ciemność.

Byłem sam – zmarznięty i przerażony.

Szedłem bez celu wąskim, podziemnym korytarzem, ledwo przeciskając się między wilgotnymi, kamiennymi ścianami. W uniesionej dłoni trzymałem pochodnię, której światło rozpraszało mrok zaledwie na odległość ramienia.

W klaustrofobicznym przejściu panowała głucha cisza, przerywana jedynie moim spłyconym oddechem. Gdy zanurzyłem stopę w czarnej, cuchnącej wodzie, rozległo się głośne chlupnięcie, którego echo niosło się w nieskończoność.

Serce waliło mi jak młotem, usta miałem spieczone, a po plecach spływał obfity pot. Nagle przeszył mnie dreszcz.

Prowadzony niejasnym przeczuciem, zamarłem w bezruchu i wytężyłem słuch.

Czekałem w napięciu kilka długich sekund. Wokół panowała przytłaczająca cisza, napięta jak struna.

Cisza głęboka, nienaturalna.

Cisza złowroga i niepokojąca.

Nagle, tuż za plecami, usłyszałem czyjś szept.

Gwałtownie odwróciłem głowę, ale wąski tunel i pochodnia trzymana w lewej ręce utrudniały mi swobodny manewr.

Wpatrywałem się w mrok za sobą, lecz niczego tam nie dostrzegałem.

Po chwili więc ów dziwny dźwięk, ledwo słyszalny w oddali, uznałem za wytwór mojej wyobraźni.

Wstrzymując oddech, stałem nieruchomo, wypatrując jakiegokolwiek znaku, który potwierdziłby, że to nie było złudzenie.

Ale nic się nie wydarzyło.

Tunel za mną był równie cichy i pogrążony w ciemności, co ten przede mną – martwe, opuszczone galerie, gdzie ludzka stopa nie stanęła od tysięcy lat.

Jednak nie byłem sam.

Czułem czyjąś obecność.

Otaczało mnie coś nieokreślonego, ale z pewnością złowrogiego. Było wszechobecne, lecz nieuchwytne.

Wstrzymałem oddech i przez kilka nerwowych sekund oglądałem się przez ramię.

Wciąż nic nie widziałem ani nie słyszałem.

Wziąłem głęboki oddech, zwilżyłem językiem spierzchnięte wargi i ruszyłem dalej.

Przyspieszyłem kroku, aż w końcu zacząłem biec.

W jakiś niewytłumaczalny sposób wiedziałem, że coś tam jest. Coś, co śledzi mnie po cichu w ciemności.

Z każdym krokiem strach rozlewał się we mnie jak plama oleju, potęgując poczucie beznadziei. Czułem, że zbliża się niepojęte, złowrogie zagrożenie.

Zerwałem się do biegu, z trudem pokonując opór gęstej, lepkiej wody, która znacząco spowalniała moje ruchy.

Ponownie usłyszałem za sobą cichy szmer. Jakby przez tunel przebiegło nagle stado szczurów.

Tym razem jednak odgłos nie był tak odległy.

Nie zatrzymałem się, ale obejrzałem się przez ramię, spodziewając się, że ujrzę jedynie bezdenną czerń.

Przyspieszyłem kroku. Ogarnęło mnie przerażające wrażenie, że coś mnie ściga – jakaś niewyobrażalna istota, która pragnie mnie

dopaść, aby uczynić ze mnie ofiarę czegoś strasznego, czegoś znacznie gorszego niż śmierć.

Po raz trzeci rozległ się ten dźwięk, tym razem towarzyszył mu jednak szorstki zgrzyt, jakby ktoś przejeżdżał pazurami po kamieniu.

Strach sparaliżował mnie tak bardzo, że nie byłem w stanie odwrócić się po raz kolejny i spojrzeć w tę pustkę. Bałem się, że to, co mogę tam zobaczyć, odbierze mi władzę w nogach, czyniąc mnie zupełnie bezbronnym.

Biegłem naprzód, dzierżąc pochodnię niczym tarczę odpędzającą ciemność. Nie wiedziałem, dokąd zmierzam, a mrok, pochłaniający światło, ograniczał widoczność do zaledwie kilku metrów.

Nagle uderzyła mnie fala smrodu, a tuż za plecami usłyszałem ciężkie sapnięcie ogromnej bestii.

Uświadomiwszy sobie, że nie mam dokąd uciec, zatrzymałem się gwałtownie. Odwróciłem się z pochodnią w dłoni i z rozpaczą krzyknąłem: „Nie!".

Ale znowu nikogo tam nie było.

Z trudem łapiąc oddech i kurczowo ściskając drżącą ręką pochodnię, odczekałem niemal minutę, wypatrując potwora czającego się w mroku. Chciałem stawić mu czoła, zanim on dopadnie mnie.

Jednak demon nie pojawił się. Byłem sam.

Przetarłem spoconą twarz. Oddychałem płytko, czułem pulsowanie w skroniach i narastający lęk, który oplatał każdą myśl.

Czyżbym tracił zmysły? Czy to halucynacje? Byłem absolutnie pewien tego, co słyszałem, a jednak przede mną nikogo nie było. Żadnego człowieka, potwora, demona – nic.

Postanowiłem odczekać, aż odzyskam spokój i zdrowy rozsądek. Wziąłem głęboki wdech, a następnie powoli wypuściłem powietrze. Uśmiechając się lekko do samego siebie na myśl o moich urojonych lękach, odwróciłem się, gotów ruszyć w dalszą drogę.

Nagle, dosłownie przede mną, wyrósł on.

Zaledwie dwa metry dalej, ciasny tunel wypełniała przerażająca istota – ożywiony cień. W skąpym blasku pochodni połyskiwała jego tłusta, czarna skóra, uwydatniając potężny tors, szerokie, muskularne

barki i nieproporcjonalnie długie ramiona, zakończone ostrymi pazurami. Głowa tego monstrum, z grubsza ludzka, choć nienaturalnie wydłużona, była skierowana w moją stronę, a w jej obliczu płonęło dwoje dzikich, przekrwionych oczu, wpatrujących się we mnie z nienawiścią rodem nie z tego świata.

Sparaliżowany strachem, wpatrywałem się w upiora, który wyglądał, jakby wyrwał się wprost z piekła.

Wiedziałem, że to koniec. Nie miałem dokąd uciec.

Jakby na potwierdzenie moich myśli, stwór rozwarł paszczę pełną ostrych kłów, gotów zatopić je we mnie.

Ogarnął mnie nagły, niespodziewany spokój, ten ulotny moment przed śmiercią. W ostatniej myśli ujrzałem twarze Cassie, mojej matki, profesora Castilla i wszystkich tych, których kochałem – tych, których już nigdy miałem nie zobaczyć.

Monstrum odchyliło głowę, napięło mięśnie i z potężnym rykiem rzuciło się na mnie.

Wrzasnąłem.

Potwór otworzył paszczę.

– Panie Vidal.

Czy ta istota naprawdę się tak do mnie zwróciła?

– Ulises! – podniosła głos i od razu przeszła na „ty". – Dość tego.

Potwór nie tylko znał moje imię, ale jeszcze mówił z wyraźnym argentyńskim akcentem.

– Ulises! – ryknął ponownie.

Otworzyłem oczy.

Nie byłem już w ciemnym tunelu. Leżałem w półmroku pokoju z wysokim, białym sufitem, z którego zwisała zgaszona lampa w stylu vintage.

Zamrugałem kilkakrotnie i spuściłem wzrok. Ściany zastawione były regałami uginającymi się pod ciężarem książek, dyplomów i zdjęć nieznanych mi osób.

Co jest prawdziwe? Tamto doświadczenie czy to?

Mój mózg potrzebował chwili, by zacząć normalnie funkcjonować.

Jesienny deszcz bębnił o szybę, a ołowiane światło późnego popołudnia ledwo oświetlało mężczyznę, który spoglądał na mnie z troską.

– Wszystko w porządku? – zapytał doktor Martínez, argentyński psychiatra.

Był młody, być może nawet zbyt młody, ale szczerość jego migdałowych oczu i hipnotyzujący głos sprawiały, że w jego obecności czułem się odrobinę lepiej. Poprawa, choć nieregularna i niewielka, była mimo wszystko zauważalna. Przynajmniej nie budziłem się już co noc z krzykiem, zlany potem – teraz zdarzało się to tylko sporadycznie.

W półmroku gabinetu, podczas naszej trzeciej sesji, leżałem na kozetce o zapachu luksusowej skóry. Uporczywie powracałem wspomnieniami do tuneli Czarnego Miasta, by zmierzyć się z własnymi demonami. Terapeuta zapewniał, że dzień, w którym pokonam je we wspomnieniach, będzie jednocześnie dniem, w którym przezwyciężę je w snach, a nocne lęki, dręczące mnie od powrotu z Amazonii, wreszcie ustaną.

Przetarłem spocone czoło.

Znowu przesadziłem.

– Napije się pan wody? – spytał mężczyzna, wskazując na dzbanek stojący na biurku.

– Nie, dziękuję – odparłem, lecz natychmiast tego pożałowałem, gdy poczułem suchość w gardle. – A jednak, napiłbym się. Zimnego piwa pewnie pan nie ma, prawda?

Na ustach psychiatry pojawił się cień uśmiechu.

– To dobry znak, że humor pana nie opuszcza – zauważył. – Robi pan postępy.

– Postępy? – powtórzyłem, przykładając dłoń do piersi. – Cholera, serce mi wali jak młot.

– Proszę pamiętać, że pierwszego dnia regresji przez dziesięć minut wpatrywał się pan w przestrzeń, nie odzywając się słowem. To, że teraz pan ze mną rozmawia, to naprawdę duży krok naprzód, proszę mi wierzyć.

– Skoro pan tak mówi…

– Mówię – potwierdził. – Musimy kontynuować pracę, aż wyrwiemy problem z korzeniami, jak chwast, by nie mógł odrosnąć. Będę czekał na pana w przyszłym tygodniu.

– No tak… Nie wiem, czy wtedy będę mógł.

– W porządku – skinął głową, wyciągając iPhone'a. – Zapisać pana na wizytę za dwa tygodnie?

– Eee… Może lepiej sam się odezwę, dobrze?

Po minie doktora domyśliłem się, że chętnie wspomniałby o wadze regularności leczenia, co miał w zwyczaju robić po każdej sesji, ale tym razem tylko skinął głową i schował telefon.

Problem polegał na tym, że nie mogłem sobie pozwolić na sto euro za godzinę terapii. Od kilku miesięcy ledwo wiązaliśmy koniec z końcem i choć Cassie zapewniała, że moje leczenie jest priorytetem, to po prostu było ono poza naszym zasięgiem finansowym. Zdrowie psychiczne będzie musiało poczekać.

Tego wieczoru, po powrocie z portu w Barcelonie, gdzie w lodowatej wodzie na ostatnią chwilę naprawiałem śrubę rosyjskiego jachtu (który spieszył się z wypłynięciem, jakby świat miał się skończyć), zastałem Cassie leżącą w łóżku z książką.

Jej falowane blond włosy były związane w nonszalancki kucyk. Opierając się o ścianę, w mojej spranej koszulce z wizerunkiem kobiety w meloniku, która sięgała jej do kolan i służyła za nocną koszulę, wyglądała piękniej niż wszystko, co zobaczyłem tego dnia.

Moje uczucie do niej nie zmalało ani trochę od chwili, gdy pierwszy raz zobaczyłem ją na pokładzie „Midasa", podczas rejsu po Karaibach w poszukiwaniu zaginionego skarbu templariuszy.

Od tamtej chwili minęło sporo czasu.

– Cześć – przywitałem się.

– *Quihubo* – odpowiedziała z uśmiechem, a ciepłe spojrzenie jej zielonych oczu natychmiast rozproszyło trudy dnia. – I jak w porcie?

– Cudownie – odparłem, siadając na brzegu łóżka. Pocałowałem ją długo, chcąc wynagrodzić jej swoją nieobecność. – Kolorowe rybki, ciepła woda i bawiące się wokół delfiny… brzmią kusząco.

– Aż tak źle? – spytała z grymasem. Od razu zrozumiałem, że się domyśliła. – Mogłam ci pomóc.

Pokręciłem stanowczo głową. Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Cassie, choć doświadczona w archeologii podwodnej, nie miała odpowiednich uprawnień do tego, aby pracować razem ze mną. Mandat czy zawieszenie licencji to ostatnie, czego było nam teraz potrzeba.

– A terapia?

– Dobrze, z każdym dniem czuję się trochę lepiej – odparłem wymijająco, nie chcąc wdawać się w szczegóły ani przyznawać, że nie zamierzam wracać na sesje. Nie miałem ochoty na kolejną kłótnię.

Rozpromieniła się.

– Och, jak się cieszę, kochanie! – powiedziała radośnie, dotykając palcami mojego trzydniowego zarostu.

– Tak, wspaniale – mruknąłem, odwracając wzrok, by nie zdradzić prawdziwych uczuć. – Jeśli pozwolisz, wezmę gorący prysznic, żeby się trochę ogrzać przed snem.

– *Chale* – puściła do mnie oko, klepiąc dłonią okładkę książki. – Będę tu na ciebie czekać.

Pokrzepiający prysznic nieplanowanie się przedłużył. Dopiero po pół godzinie udało mi się rozgrzać i zmyć ze skóry zapach oleju silnikowego oraz ryb.

Kiedy wróciłem z łazienki, Cassie już spała, lewą ręką zakrywając książkę.

Zawahałem się przez chwilę, myśląc, czy nie położyć się obok niej, ale mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Wiedziałem, że wiercenie się w łóżku tylko by go oddaliło.

Ostrożnie odłożyłem książkę, zgasiłem światło i pocałowałem Cassie w czoło na tyle delikatnie, by jej nie obudzić. Miarowy oddech zdradzał, że zasnęła już dawno.

– Kocham cię – wyszeptałem, muskając jej usta i wciągając słodki, owocowy zapach jej włosów.

Zerknąłem na zegarek. Nie było jeszcze północy. Uważając, by jej nie obudzić, sięgnąłem po Kindle'a leżącego na stoliku nocnym

i ruszyłem do salonu. Zamierzałem trochę poczytać i pooglądać tele-zakupy, aż Morfeusz łaskawie raczy mnie odwiedzić.

2

Od niemal godziny bezskutecznie przeskakiwałem między powtórkami westernów a programami astrologicznymi dla nocnych marków. Znużony tą bezproduktywną rozrywką, w końcu wyłączyłem telewizor i cisnąłem pilotem na drugi koniec kanapy, jakbym pozbywał się czegoś obrzydliwego.

Wstałem i podszedłem do stolika, gdzie leżał Kindle, zamierzając kontynuować lekturę. Mimowolnie jednak spojrzałem na laptopa. Zawahałem się chwilę, po czym, cmokając z irytacją, złamałem daną sobie obietnicę.

Usiadłem na krześle, podniosłem klapę laptopa i włączyłem zasilanie.

Czekając, aż komputer się uruchomi, przypomniałem sobie telefon od profesora sprzed dwóch tygodni. Podekscytowany dzwonił z informacją, że zaproszono go do popularnego programu telewizyjnego. Okazało się, że opowieść o naszej przygodzie w amazońskiej dżungli i odkryciu ruin Czarnego Miasta zainteresowała jedną z producentek.

W rzeczywistości producentów nie zaciekawiło samo rzekome odkrycie tysiącletniej, nieznanej cywilizacji. Po prostu środowy program wieczorny niespodziewanie stracił występ nastoletniej gwiazdy muzyki pop, więc pilnie potrzebowali kogoś, kto wypełniłby półgodzinną lukę rozmową – szukali tematu, który mogliby przedstawić jako sensację. Prawdopodobnie ktoś wypatrzył twarz Eduarda Castilla w jednej z nielicznych publikacji, które wspomniały o naszej wyprawie.

Po powrocie do Hiszpanii czekało nas bolesne rozczarowanie. Relacja z amazońskiej wyprawy, przedstawiona lokalnym mediom,

nie wzbudziła większego zainteresowania. Uciekając w pośpiechu z dżungli, nie zdołaliśmy zabezpieczyć żadnych materialnych dowodów naszego odkrycia. Jedyne, co posiadaliśmy, to zniszczone dzienniki nazistowskiego oficera, których autentyczność nie została potwierdzona. W konsekwencji nieliczne publikacje naukowe i archeologiczne, które w ogóle wspominały o naszej wyprawie, podważały wiarygodność relacji, sugerując nawet, że w pogoni za sensacją zmyśliliśmy całą historię.

Paradoksalnie bogate doświadczenie Eduarda, profesora historii średniowiecza, oraz uznana wiedza Cassie, archeolożki specjalizującej się w podwodnych wykopaliskach, nie tylko okazały się bezużyteczne, ale wręcz działały na naszą niekorzyść. Być może, gdybyśmy byli amatorami snującymi niestworzone historie o zaginionych miastach w dżungli, najemnikach i potwornych bestiach, ktoś zadałby sobie trud, by zweryfikować nasze rewelacje. Tymczasem, jako uznane autorytety, zostaliśmy odrzuceni przez środowisko akademickie, oskarżeni o szarlatanerię i hańbienie nauki. Z dnia na dzień dorobek całego naszego życia został podważony, a my – oczernieni i wykluczeni ze świata uniwersyteckiego oraz badawczego.

Profesor Castillo stracił wszystkie przywileje akademickie. Odwrócili się od niego nawet dawni przyjaciele, którzy, obawiając się posądzenia o współudział w oszustwie, unikali z nim kontaktu. Cassie ucierpiała jeszcze dotkliwiej: napiętnowana jako krętaczka nie mogła znaleźć zatrudnienia w archeologii podwodnej – nie tylko na stanowisku archeologa, ale nawet asystentki.

Odkrycie, które miało przynieść im sławę, szybko stało się przekleństwem i zrujnowało ich kariery.

Profesor, pragnąc udowodnić, że historia ludzkiej cywilizacji jest starsza, niż dotychczas sądzono, a jednocześnie desperacko ratując swoją nadszarpniętą reputację, bez wahania przyjął zaproszenie do programu telewizyjnego. Cassie i ja ostrzegaliśmy go, że to zły pomysł.

– Ludzie muszą poznać prawdę o naszym odkryciu! – upierał się z entuzjazmem. – Kiedy jeszcze będę miał okazję wystąpić w telewizji

w najlepszym czasie antenowym i opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w Amazonii? Nie mogę zmarnować takiej szansy!

Mógł odmówić, ale tego nie zrobił. W środę o dziesiątej wieczorem Cassie i ja siedzieliśmy przed telewizorem, oglądając jego występ w programie „La Madriguera". Stał tam w tweedowej marynarce i muszce, z charakterystycznym, roztargnionym spojrzeniem. Otaczały go migoczące światła, a w tle wirowali tancerze i mężczyzna przebrany za królika.

Komputer uruchomił się błyskawicznie i już po kilku kliknięciach oglądałem w serwisie YouTube pełny zapis wywiadu udostępniony przez stację.

Przewinąłem fragmenty z piosenkami, tańcami i konkursem rzucania gumowymi kurczakami, aż dotarłem do momentu, w którym profesor siadał obok prowadzącego.

Elektroniczne szumy ucichły i z głośników popłynął motyw muzyczny z „Indiany Jonesa". Światła przygasły, tworząc bardziej kameralną atmosferę. Prowadzący – niski mężczyzna z kozią bródką i wiecznie drwiącym uśmiechem, Paco Botos – przysunął krzesło bliżej Eduarda.

– Profesorze Castillo, dziękujemy za przyjęcie naszego zaproszenia – rozpoczął gospodarz programu tonem zaskakująco poważnym, jak na tak krótki wstęp. – Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?

– Tak, oczywiście – odparł profesor, z trudem ukrywając nerwowość przed kamerami.

– Świetnie, Eduardo. Proszę więc powiedzieć, co konkretnie udało się panu odkryć w Amazonii?

– Cóż... – zaczął, chrząkając. – Właściwie to nie ja dokonałem tego odkrycia. Prawdziwym odkrywcą był pułkownik Percy Fawcett w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym...

– Tak, tak – przerwał mu gestem rozmówca. – Ale to panu przypisuje się ponowne odkrycie. Przecież Kolumb również nie był pierwszy w Ameryce, a jednak to jego uważa się za odkrywcę, prawda?

– Można tak powiedzieć. Choć nie byłem tam sam, to zasługa całego zespołu.

– Mmm… bardzo interesujące. Proszę opowiedzieć coś więcej o tym miejscu.

Profesor zamrugał, próbując nadążyć za szybkim tempem rozmowy.

– To stanowisko archeologiczne.

– Stanowisko, czyli ruiny?

– Tak, ale… niezupełnie. Ze względu na odizolowanie i ograniczenie od wpływu człowieka, stanowisko to zachowało się w wyjątkowo dobrym stanie.

– Właśnie o to chciałem zapytać. Słyszałem, że miasto jest zrujnowane… Jak właściwie je nazwaliście?

Eduardo pokręcił głową.

– Nie nadaliśmy mu żadnej nazwy. Dowiedzieliśmy się, że miejscowi nazywają to miejsce Czarnym Miastem.

– Rozumiem. Rząd Brazylii miał rzekomo zakazać wstępu do tego regionu, tłumacząc to agresją miejscowej ludności, sprowokowaną budową tamy. Niestety, nikt nie potwierdził pańskiej relacji, a pan nie przedstawił żadnych sensownych dowodów. Czy nie próbuje pan przypadkiem wprowadzić nas w błąd? Pojawiają się sugestie, że cała ta historia została zmyślona, aby zyskać popularność moim kosztem.

Stary przyjaciel ojca zamrugał bezradnie za grubymi szkłami okularów.

– Przepraszam? – wykrztusił w końcu z niedowierzaniem w głosie.

Prowadzący, z kpiącym uśmieszkiem, poklepał profesora po plecach.

– Żartowałem! – zawołał, wskazując na gościa, co wywołało gromki śmiech publiczności. – Wybacz, Eduardo, lubimy sobie tu pożartować – dodał rozbawiony. – Słyszałem, że Czarne Miasto jest pod wodą, prawda?

Profesor odczekał chwilę, mierząc prowadzącego uważnym spojrzeniem.

– Niezupełnie – odparł. – Na szczęście udało się zapobiec całkowitemu zalaniu tego terenu, a poziom wody opada. Dzięki temu

zabezpieczyliśmy stanowisko archeologiczne, a plemię Menkragnoti ocaliło swoje ziemie, które...

– Plemię Mercanoti? – prychnął śmiechem. – Brzmi jak nazwa pieluch z supermarketu!

Publiczność ponownie parsknęła śmiechem.

– Menkragnoti – poprawił go profesor z powagą. – To jedno z najstarszych i najmniej poznanych plemion Amazonii.

– Rozumiem, czyli Indianie? Przepaski biodrowe, pióropusze? – dopytywał prowadzący, po czym, udając zatroskanie, dodał: – I nie próbowali pana zjeść?

– Zjeść? Kogo? O czym pan mówi? – odparł profesor, teraz już wyraźnie zaskoczony.

– Chyba nie chce o tym opowiadać – szepnął prowadzący do publiczności. – Czy tylko mnie się wydaje, że, jak na kogoś, kto rzekomo utknął w Amazonii, ma pan nieco... pokaźny brzuch?

Profesor, wyraźnie zdezorientowany, spojrzał na siebie i instynktownie pogładził się po brzuchu.

– Ja... nie... – zaczął niepewnie.

Prowadzący natychmiast przejął inicjatywę.

– Wróćmy zatem do Czarnego Miasta, drogi Eduardo. Co czyni je tak niezwykłym?

– To metropolia założona ponad dziesięć tysięcy lat temu – odparł, odzyskując rezon i pozwalając, by pasja wzięła górę. – Zbudowała ją tajemnicza cywilizacja, znacznie starsza niż jakakolwiek inna znana ludzkości.

– Starsza od Egipcjan?

– Starsza niż Egipt, Sumer i wszystkie inne znane cywilizacje razem wzięte.

Prowadzący zamyślił się i podrapał po brodzie.

– Rozumiem – rzekł po chwili. – Jak nazywała się ta wspaniała, pradawna cywilizacja?

– Właściwie... tego nie wiemy – wymamrotał profesor, wyraźnie zakłopotany. – Przypuszczamy, że mogli nazywać siebie Pierwszymi... albo Starożytnymi.

– Starożytni? – wykrzyknął prowadzący, uderzając otwartą dłonią w udo. – Wybaczy pan, ale to brzmi absurdalnie! Jaka cywilizacja nazwałaby się w ten sposób? To tak, jakbym ja miał się nazywać Paco Botos, Przystojniak!

Publiczność ponownie zaniosła się śmiechem, gdy prowadzący zerwał się z krzesła, obrócił wokół własnej osi niczym model na wybiegu, po czym usiadł z powrotem, posyłając całusa w stronę kamery.

– Choć w moim przypadku to przecież oczywiste – dodał, po czym nagle zwrócił się do Eduarda i mrugnął. – A pan, jak sądzi? Jestem przystojny?

Profesor otworzył usta, bezskutecznie próbując wydobyć z siebie słowo – niczym ryba złapana w sieć.

– Z tego, co wiem – prowadzący nagle ściszył głos, a światła reflektorów przygasły – w Czarnym Mieście zetknęliście się z czymś przerażającym. – Zawiesił głos, budując napięcie. – Z okrutnymi istotami zwanymi Morcegami.

W studiu zapadła ciemność, rozpraszana jedynie przez pojedynczy reflektor oświetlający sylwetki rozmówców.

Zaskoczony nagłym zgaśnięciem świateł, profesor odwrócił głowę i osłaniając oczy dłonią, spojrzał w kierunku reflektora, a potem na prowadzącego, którego twarz wykrzywiał udawany grymas przerażenia.

– Morcegowie… – wyszeptał z trudem, wzdrygając się na samą myśl. – Te krwiożercze bestie… One nas… – Urwał, nieobecnym spojrzeniem wpatrując się w punkt na podłodze. Bez wątpienia powróciły do niego wspomnienia, przenoszące go w tragiczną przeszłość.

Prowadzący uścisnął dłoń profesora w geście współczucia.

– Słyszałem, że nikt nie przeżył – mruknął cicho, jakby zdradzał jakiś sekret.

Profesor jedynie skinął głową.

– A wśród ofiar była osoba bardzo panu bliska… – dodał Botos.

Profesor zacisnął usta i spuścił wzrok.

– Moja córka, Valeria… – wyszeptał ledwie słyszalnie. – Morcegowie… – Z trudem przełknął ślinę, wpatrując się we własne

dłonie, jakby wspomnienie wyryło się w ich liniach. – Nie zdołałem jej ocalić.

Po widowni przebiegł szmer współczucia.

Profesor podniósł wzrok, a kamera wykonała zbliżenie, ukazując łzy zbierające się w jego oczach.

Nie wytrzymałem.

Zamknąłem laptopa z takim impetem, że aż zatrzeszczał.

– Drań – warknąłem gniewnie, kręcąc głową.

Żenująca rozmowa trwała jeszcze dwadzieścia minut. Prowadzący potraktował profesora instrumentalnie, sprowadzając go do roli jarmarcznej atrakcji. Zamiast zadawać poważne pytania, raczył go żartami i słownymi przepychankami, z uporem zmuszając do opowiadania o traumatycznych przeżyciach w dżungli i nieustannie wracając do epizodów, od których profesor wyraźnie próbował się zdystansować.

Podczas całego wywiadu nie padło ani jedno pytanie o Czarne Miasto, nasze odkrycia ani o przełomowe znaczenie tego znaleziska.

Paco Botos bez skrupułów rozszarpał, ośmieszył i upokorzył mojego drogiego przyjaciela, ku uciesze publiczności w studiu i milionów widzów przy odbiornikach.

Nie mogłem tego dłużej znieść.

– Skurwysyn – wymamrotałem przez zaciśnięte zęby.

Wziąłem głęboki oddech, wstałem od stołu i wróciłem na kanapę. Położyłem się, sięgnąłem po Kindle'a i zacząłem czytać, licząc, że lektura pomoże mi oderwać myśli od narastającej wściekłości.

3

Drugie przebudzenie tego dnia okazało się o wiele przyjemniejsze. Obudził mnie delikatny aromat świeżo zaparzonej kawy.

– Dzień dobry – powiedziała Cassie z uśmiechem, gdy otworzyłem oczy. Ubrana w moją koszulę, trzymała parujący kubek. – Widzę, że jednak udało ci się trochę odespać.

– Chyba tak – mruknąłem, podnosząc się z kanapy. – Która godzina?

– Prawie dziesiąta.

– O, późno.

– Nie chciałam cię budzić wcześniej. Napijesz się kawy?

– Dzięki. – Wziąłem łyk. Mocna, z miodem i cynamonem.

– Siedziałeś do późna?

– Nie mam pojęcia. Chyba świtało, kiedy zasnąłem.

– Znowu oglądałeś ten wywiad? Po co do niego wracasz? Tylko się denerwujesz.

– Nie mogę inaczej... – ścisnąłem kubek. – Przeżyliśmy to wszystko... a potem jeszcze ktoś z tego żartuje.

Cassie położyła dłoń na moim ramieniu.

– Daj spokój. Za kilka dni nikt nie będzie o tym pamiętał. Nie warto się tym zadręczać.

Spojrzałem na nią.

– Masz rację.

– W takim razie do roboty, czas nagli.

– Do czego?

– Twoja mama i profesor przychodzą na obiad.

– Już niedziela?

Cassie prychnęła i wstała.

– Ogarnij salon, a ja posprzątam łazienkę.

– Cassie…

– Co?

– Co masz na brodzie?

– Na brodzie? – Odruchowo dotknęła wskazanego miejsca.

– Zaczekaj. – Złapałem ją za rękę i stanąłem naprzeciwko niej. – Zaraz ci coś pokażę.

Od razu zorientowała się, co zamierzam, ale było już za późno. Objąłem ją w pasie.

– Puść mnie, Ulisesie – zaprotestowała. – Mamy tyle do zrobienia, zanim…

Nie pozwoliłem jej dokończyć, uciszając ją pocałunkiem.

– Mamy mnóstwo czasu – szepnąłem, wsuwając dłonie pod jej koszulę i z satysfakcją stwierdzając, że nie ma na sobie bielizny.

– Nie teraz… – wymruczała.

Moje usta powędrowały wzdłuż jej brody na szyję, którą lekko podgryzłem. W odpowiedzi usłyszałem ciche jęknięcie. Przesunąłem dłonie na jej plecy, zatrzymałem się na biodrach i przyciągnąłem ją bliżej. Ustami odnalazłem jej ucho i zacząłem drażnić płatek, na którym lśnił maleńki, czerwony kolczyk w kształcie rozgwiazdy.

– Ulises… – wymamrotała.

Uniosłem ją ostrożnie i przeniosłem na kanapę.

Leżała jak Wenus, z dłońmi splecionymi za głową, a jej uśmiech krył obietnicę. Rozwichrzone włosy opadały na twarz, koszula opinała się na piersiach, delikatnie rysując kształt sutków. Materiał ledwie okrywał łono, a długie, gładkie nogi wieńczyły drobne stopy w grubych, wełnianych skarpetach.

Ogarnęło mnie pożądanie. Jedno figlarne mrugnięcie wystarczyło, bym zapomniał o całym świecie i bez reszty się jej oddał.

Trzy godziny później, gdy przy stole siedziała już moja mama, ktoś zapukał do drzwi.

Otworzyłem. Za grubymi, szylkretowymi oprawkami okularów dostrzegłem znajome, niebieskie oczy.

Profesor Castillo zdjął płaszcz i przewiesił go przez ramię. Jego oczy zmarszczyły się w uśmiechu.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, profesorze. Jak się pan miewa?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Nie spóźniłem się?

– Trafiłeś idealnie, właśnie mieliśmy siadać do obiadu.

Wszedł do niewielkiego salonu na moim poddaszu i odwiesił płaszcz. Przy stole czekały Cassie i moja matka, Teresa. W swoim barwnym Desigualu i żółtych okularach wyglądała w tym skromnym wnętrzu jak jakiś egzotyczny ptak. Jaskrawość jej stroju mocno kontrastowała ze zmarszczkami zdradzającymi wiek – dawno była już po sześćdziesiątce.

Podniosła wzrok znad okularów i skinęła uprzejmie, choć chłodno, na widok dawnego przyjaciela ojca.

– Dzień dobry, Eduardo.

– Dzień dobry, Tereso.

Jej brwi niemal niezauważalnie drgnęły. To powitanie, choć niezbyt serdeczne, i tak stanowiło wyraźny postęp.

Przez lata obwiniała go o śmierć ojca w wypadku, który miał miejsce w drodze do klasztoru w Pirenejach. Mimo że przyczyną tragedii była oblodzona droga, całą złość skierowała na profesora.

Dopiero po naszym powrocie z Amazonii, gdy dowiedziała się o jego stracie, coś w niej pękło.

Może kierowało nią współczucie, a może poczucie winy.

Wciąż za nim nie przepadała, ale tego dnia tolerowała jego obecność, a nawet mimowolnie uśmiechnęła się kilka razy.

– Napijecie się czegoś przed obiadem? – zapytała Cassie.

– Ja dziękuję – odparła moja matka.

– Z przyjemnością napiję się martini – odparł profesor.

– Mamy tylko piwo i tequilę.

– Jeśli wypiję teraz tequilę, zasnę jeszcze przed deserem – powiedział, siadając. – Poproszę piwo.

– Ja również – mrugnąłem do Cassie, a następnie zwróciłem się do mamy: – Spakowałaś się już?

– Zostało mi jeszcze dziesięć dni. Poza tym nie mam aż tyle ubrań – odparła.

– Wyjeżdżasz gdzieś? – zainteresował się profesor.

– Na rejs. Miesiąc po Karaibach z przyjaciółkami.

– To brzmi jak wspaniałe wakacje.

– Należą mi się. Dawno nigdzie nie wyjeżdżałam – przyznała.

– A co z wystawą? – wtrąciła Cassie.

– Pewna mała galeria zaproponowała mi wystawę w kwietniu – odpowiedziała mama. W jej głosie czuć było wyraźną dumę.

– Gratulacje!

– To spory sukces – dodałem.

– Malowałam, zanim się urodziłeś – odparła z lekką ironią w głosie.

– Naprawdę? – spytałem.

– Daj spokój – ucięła matka, zwracając się do Cassie: – Widzisz, jakiego mam syna?

Przy stole rozległ się śmiech.

– A co z Maxem? – zapytałem po chwili, zmieniając temat.

Rozmowa potoczyła się dalej.

Pół godziny później skończyliśmy jeść obiad. Na stole królowały tacos z kurczakiem, quesadille i nachosy z serem. Z powodu ostrych przypraw piwo znikało w zastraszającym tempie, a my, popijając kolejne Coronity, wesoło gawędziliśmy i śmialiśmy się z byle czego.

– Pamiętasz tego robaka, który wlazł profesorowi pod skórę? Jak mu było? – zapytałem Cassie.

– *Sotuto* – odparła, krzywiąc się z obrzydzeniem. – Niesamowite, że Iak wywabił go gwizdaniem.

– Gwizdaniem? – spytała matka z niedowierzaniem, spoglądając na profesora w poszukiwaniu potwierdzenia.

– Zgadza się, choć wcześniej pani syn z niemałą werwą zaatakował mnie nożem.

– Próbowałem wyciągnąć to paskudztwo jak najdelikatniej – broniłem się, wymachując nachosem. – To nie było przyjemne również

dla mnie. Chociaż... – dodałem z przekornym uśmiechem – może odrobinę.

– A niech cię... – prychnął historyk.

– Halo! Jeszcze tu jestem! – oburzyła się matka, unosząc brew.

– Och, najmocniej przepraszam. Nie chciałem...

Cassie wybuchnęła śmiechem, przerywając niezdarne przeprosiny profesora. Nie była to jednak szczera radość – w jej śmiechu pobrzmiewało rozbawienie podsycone alkoholem.

Śmiech rozniósł się po sali i zanim ucichł, wszyscy zapomnieli, co go wywołało.

– Dobrze, profesorze – powiedziałem, upijając łyk piwa. – Jak minął tydzień? Co nowego?

– Co nowego? – zamyślił się, jakby alkohol spowalniał jego myśli. – Ach, tak. Właściwie dwie rzeczy. Max znowu dzwonił.

– Znowu? – Cassie oderwała wzrok od szklanki.

– Trzy razy.

Z niedowierzaniem pokręciłem głową.

– Czy ten facet w ogóle rozumie, co znaczy słowo „nie"?

– Jak widać ma z tym problem – odparł profesor z rezygnacją, wzruszając ramionami.

– Najwyższy czas, żeby się nauczył – mruknąłem. – Następnym razem niech dzwoni do mnie, chętnie mu to wytłumaczę.

Matka, przerzucając wzrok to na mnie, to na profesora, w końcu nie wytrzymała:

– Możecie mi powiedzieć, o kim mówicie? Kim jest ten Max i dlaczego do was wydzwania?

Zawahałem się, nie będąc pewnym, czy chcę jej o tym opowiedzieć, ale Cassie mnie uprzedziła.

– To Maximilian Pardo. Odkąd ujawniliśmy sprawę Czarnego Miasta, nieustannie nęka profesora telefonami, domagając się spotkania.

Matka otworzyła szeroko oczy.

– Maximilian Pardo? – powtórzyła z niedowierzaniem, a w kąciku jej ust pojawił się nerwowy uśmiech. – Ten Maximilian Pardo?

– Tak, mamo, ten sam.

Jej reakcja wcale mnie nie zdziwiła. Zawsze zachowywała się w podobny sposób, gdy padało to nazwisko.

Maximilian Pardo był hiszpańskim odpowiednikiem Richarda Bransona – młodszym i, trzeba przyznać, przystojniejszym. Należał do grona samouków, którzy sukces osiągnęli własną pracą, a których historie znamy głównie z amerykańskich filmów. Jeszcze przed trzydziestką stworzył zaawansowany program do zarządzania firmami i sprzedał go amerykańskiej korporacji za dwadzieścia milionów euro. Tak narodziła się legenda Maxa Parda.

Za część tych środków stworzył popularną wyszukiwarkę internetową Hound, którą po kilku latach sprzedał. Jak donosiły media, transakcja opiewała na zawrotną sumę i została sfinalizowana tuż przed pęknięciem bańki internetowej. Niespełna rok później Pardo założył MaxBank – pionierski system płatności mobilnych, który szybko zaczął generować obroty przewyższające te osiągane przez wiele tradycyjnych instytucji finansowych. Skuteczność ta przykuła uwagę świata finansów, w szczególności Banco Santander, który wykupił od Parda pakiet większościowy akcji MaxBanku. Dzięki temu Pardo, mając niewiele ponad czterdzieści lat, znalazł się na liście najbogatszych ludzi w kraju magazynu „Forbes".

Maximilian Pardo, przystojny i bajecznie bogaty kawaler, którego kolorowe magazyny porównywały do George'a Clooneya, dzielił czas między hojne akcje charytatywne a spektakularne wyprawy w najodleglejsze zakątki świata. Skrupulatnie relacjonował te podróże, dbając o stałą obecność w mediach tradycyjnych i społecznościowych, co z pewnością łechtało jego ego. Zazwyczaj towarzyszyła mu wtedy pewna wyjątkowo atrakcyjna kobieta.

Oczywiście żywiłem do niego głęboką niechęć.

– Czego właściwie od was chce? – dopytywała matka, wyraźnie zaciekawiona. Spojrzała na Eduarda znad żółtych plastikowych oprawek. – I dlaczego dzwoni akurat do ciebie?

– Interesuje go Czarne Miasto. Podejrzewamy, że planuje tam ekspedycję.

– I co w tym złego?

– Złe jest to – odparłem – że to w tej chwili niemożliwe. Teren wciąż jest zalany, a poza tym ten człowiek szuka jedynie rozgłosu. Nie pozwolimy mu urządzić tam medialnego widowiska.

– Ale...

– Żadnego „ale", mamo. Rząd brazylijski zamknął ten obszar, oficjalnie ze względu na problemy z ludnością tubylczą, ale tak naprawdę po prostu nie chce, by ktokolwiek wtykał nos w tamte rejony dżungli – zwłaszcza my. Zresztą, nawet gdybyśmy mieli taką możliwość, i tak byśmy tam nie pojechali – zakończyłem stanowczo. – Za nic w świecie.

– Dobrze, rozumiem – ustąpiła. – Ależ on jest przystojny... Nie sądzisz, kochanie? – zwróciła się do Cassie.

Meksykanka odpowiedziała matce porozumiewawczym mrugnięciem.

– *Está papacito* – stwierdziła, po czym uśmiechnęła się zadziornie i pokazała mi język.

– No dobra... – mruknąłem, odstawiając piwo. – Profesorze, jaka była ta druga wiadomość?

– Przepraszam? – zamrugał zdezorientowany.

– Mówił pan, że ma jakieś wieści. O co chodzi?

– Ach, tak, oczywiście – odparł, spoglądając na płaszcz wiszący przy wejściu. – Są tam.

Wytężyłem wzrok, usiłując przez alkoholową mgłę dostrzec plik kartek wystający z wewnętrznej kieszeni.

– Co to jest? – zapytałem. – Niech mi pan nie mówi, że przyniósł pan pracę.

– Zaraz zobaczycie – odparł z lekkim uśmiechem.

Wstał chwiejnie, wyjął z kieszeni plik spięty klipsem, podszedł do stołu i z teatralnym gestem upuścił go na blat, niczym adwokat prezentujący decydujący dowód.

W milczeniu i z ciekawością obserwowaliśmy tę scenę. Rozbawieni zachowaniem profesora, czekaliśmy na wyjaśnienie.

– Wreszcie je mam! – oznajmił triumfalnie, wypinając pierś, jakby prezentował tablice Mojżesza.

– Deklaracje podatkowe? – spytałem, śmiejąc się.

– Swoje wspomnienia? – wtrąciła Cassie.

– Dokumenty Bárcenasa? – dodała moja matka.

– Co? Ależ nie! To tłumaczenie! – wykrzyknął, wskazując na plik. – Tłumaczenie nazistowskich dzienników, które znaleźliśmy w Czarnym Mieście!

4

Na obrusie w czerwono-białą kratę, uprzątniętym już z naczyń i butelek, leżał stos blisko stu fotokopii stron z dziennika pułkownika Franza Stauffela z Deutsches Ahnenerbe.

Pod każdym wierszem gęstego, na pierwszy rzut oka nieczytelnego niemieckiego pisma, widniał hiszpański przekład naniesiony czerwonym długopisem. Dziesiątki ręcznie przepisanych stron, miejscami ozdobionych rysunkami budowli i struktur przypominających te z Amazonii, przeplatały się z kartami, które wyglądały jak rejestr lub księga rachunkowa – pełne były symboli, skrótów i kolumn liczb, których rozszyfrowanie wydawało się niemożliwe.

– Kto to zrobił? – zapytała Cassie, wyraźnie zdumiona ilością materiału.

– Profesor filologii germańskiej z uniwersytetu miał u mnie dług wdzięczności – odparł niedbale.

– Myślałam, że uniwersytet zerwał z panem wszelkie kontakty.

– Cóż, jak widać, wciąż mam tam znajomych.

– Przeczytał pan to już? – Cassie wskazała na plik dokumentów.

– Tylko pobieżnie, kochanie. Dostałem je wczoraj wieczorem i nie miałem okazji, żeby się z nimi dokładnie zapoznać.

– I jakie są pana wnioski? – zapytała Cassie, gdy jego milczenie zaczęło się przeciągać.

Profesor Castillo niespokojnie poruszył się na krześle.

– Z dotychczasowych ustaleń wynika, że zgodnie z naszymi przypuszczeniami odnaleźliśmy osobisty dziennik nazistowskiego oficera – zaczął, drapiąc się po brodzie. – Szczegółowo opisuje on przebieg misji, ekspedycji oraz napotkane trudności.

Co więcej, pułkownik Stauffel miał talent plastyczny i wiernie odwzorował niektóre świątynie znajdujące się w mieście. Z jego zapisków dowiadujemy się, że w wyprawie, liczącej dwadzieścia pięć osób, uczestniczyło czterech archeologów, uznanych naukowców z Uniwersytetu Berlińskiego, którzy z pewnością dokonali wielu odkryć i sporządzili liczne notatki. Niestety – spojrzał na nas z rezygnacją – Stauffel nie był jednym z nich.

– Co dokładnie ma pan na myśli?

– Obawiam się, że w tych zapiskach nie znajdziemy zbyt wielu naukowych informacji na temat niemieckich odkryć w Czarnym Mieście. Brakuje w nich również wskazówek, które pomogłyby nam zinterpretować nasze własne ustalenia.

– Rozumiem. Czyli te dzienniki są bezużyteczne? – spytała Cassie. W jej głosie słychać było rozczarowanie.

– O, nie, nic podobnego – odparł pospiesznie profesor. – Zawierają mnóstwo szczegółów dotyczących samej ekspedycji. Na przykład tutaj – uniósł kartę przypominającą księgę rachunkową – znajdują się spisy setek odnalezionych, zebranych i skatalogowanych przedmiotów.

– Ale bez żadnych opisów? – podsunęła ponuro Cassie.

Profesor najpierw pokręcił przecząco głową, a po chwili przytaknął z rezygnacją.

– Zgadza się, bez opisów.

Meksykanka zamilkła, wyraźnie przygnębiona.

– Dobrze, ale czy na pewno nic tam nie znajdziemy? – zapytałem, starając się ją pocieszyć. – Musi być w tych dokumentach coś wartościowego. Przecież nie liczyliście na gotową rozprawę doktorską o Starożytnych, prawda?

– Byłoby miło – westchnęła Cassie, wzruszając ramionami.

– Profesorze – zwróciłem się do starego przyjaciela – czy natknął się pan na jakieś informacje o nazistowskiej ekspedycji do Amazonii?

– Owszem – przytaknął. – Na podstawie tych materiałów można by napisać kilka książek o nieudanej ekspedycji z 1940 roku i eksploracji Czarnego Miasta. – Zakaszlał, jakby zawstydzony. – Niestety,

nie ma tu nic istotnego o Starożytnych, Morcegach ani o żadnych tajemnicach tego miejsca. To w zasadzie dziennik wojskowego, któremu brakowało wyobraźni i wiedzy naukowej. Skupia się na zaopatrzeniu, dyscyplinie i logistyce, a o archeologii czy historii wspomina niewiele, jeśli w ogóle.

– Czyli jesteśmy ponownie w punkcie wyjścia – podsumowała Cassie.

– Nie ująłbym tego w ten sposób.

– Naprawdę? A co nas obchodzi zużycie paliwa albo powód aresztowania szeregowego Kartoffena?

– No tak, to akurat faktycznie nie jest dla nas istotne. Ale jeden z tych zeszytów... – zaczął, przeszukując stos papierów, aż w końcu znalazł to, na czym mu zależało. – Zawierał szczegółową ewidencję zasobów, w tym regularnych transportów sterowcami do Niemiec: zaopatrzenia, amunicji i... – zawiesił głos, spoglądając po kolei na każdego z nas. Następnie wziął kilka fotokopii i odwrócił je w naszą stronę.

Razem z Cassie pochyliliśmy się nad stołem i przez dłuższą chwilę studiowaliśmy kartki w kratkę, zapisane rzędami numerów rejestracyjnych, nazwisk i dat.

– „Box Nr 21" – odczytałem losowy wpis. – „Archäologischen Proben. 8/6/1940".

– Skrzynia numer dwadzieścia jeden z próbkami archeologicznymi – przetłumaczył natychmiast profesor. – A ta data na marginesie – dodał, wskazując palcem – jak widzicie, powtarza się przy wszystkich skrzyniach, od numeru szesnastego do trzydziestego ósmego.

– Czego dotyczą te daty? Co oznaczają? – zapytała z ciekawością matka.

Prawie zapomniałem, że wciąż tu jest.

Jej nagłe wtrącenie się do rozmowy o nazistach i zaginionych miastach wydało mi się zaskakujące.

– Ja obstawiałabym daty wysyłki – odezwała się Cassie. – Dobrze mówię, profesorze?

– Zgadza się. Dokładnie dwadzieścia dwie skrzynie z próbkami archeologicznymi załadowano na sterowiec zaopatrujący ekspedycję i wysłano do Niemiec ósmego czerwca 1940 roku.

– Jest pan pewien? – zapytałem, uważnie przyglądając się obu kartkom. – Nie widzę tu o tym żadnej wzmianki.

Profesor uśmiechnął się i, niczym magik wyciągający królika z kapelusza, wyjął z pliku kolejną fotokopię.

– Nie tutaj, ale tutaj – powiedział, poprawił okulary i zaczął czytać. – W jednym z zapisków pułkownik Franz Stauffel wspomina krótką rozmowę z kapitanem zeppelina, Liebknechtem, który dostarczył mu korespondencję od żony z Niemiec. – Stuknął palcem w kartkę i spojrzał znad okularów. – Data w nagłówku: szósty czerwca 1940 roku.

– Dwa dni wcześniej – zauważyła Meksykanka.

Profesor Castillo z satysfakcją odchylił się na krześle.

– Znakomicie. Teraz, kiedy znamy datę wylotu sterowca do Niemiec, wierzę, że uda nam się odnaleźć ślad zarówno maszyny, jak i przewożonego przez nią ładunku.

– Chwileczkę – wtrąciłem. – Czy jest pan pewien, że sterowiec na pewno leciał do Niemiec?

– A gdzie indziej miałby lecieć? – odparł profesor, wyraźnie zaskoczony.

– Zwracam tylko uwagę, że w dokumentach nie ma jednoznacznej informacji o miejscu docelowym, prawda? Kierunek na Niemcy to jedynie domniemanie.

– To prawda, ale skoro przywiózł korespondencję z Niemiec, czy nie wydaje się logiczne, że tam właśnie wracał?

– Być może, choć nie byłbym tego taki pewien.

– Czy istnieją jakiekolwiek przesłanki, że mógł lecieć gdzie indziej? – zapytała Cassie.

– Absolutnie żadnych – odparł stanowczo Eduardo.

– A to tutaj? – Moja matka wskazała prawy górny róg strony w rejestrze. – Czy to może mieć jakieś znaczenie?

Wszyscy troje pochyliliśmy się nad fotokopią, usiłując zrozumieć jej treść.

– Ach, to – profesor niedbale machnął ręką. – Wygląda na nazwę kodową lub szyfr. Pojawia się tylko raz, więc rozszyfrowanie, czego dotyczy, okazało się niemożliwe.

– 0112 – Cassie zmrużyła oczy. – A może to po prostu numer strony?

– Nie, to było pierwsze, co sprawdziłem – odparł profesor, odchodząc od stołu w stronę lodówki, zapewne po kolejną Coronitę.

– 0112? – skomentowałem z rozbawieniem. – Brzmi jak numer alarmowy.

– Zaraz, zaraz – wtrąciła moja matka. – Źle to odczytujecie. Pierwszy znak to nie zero.

– Mamo, to ewidentne zero, ewentualnie duże „O".

– Mówię wam, że nie – upierała się, marszcząc brwi. – Przyjrzyjcie się uważnie. Tusz na fotokopii się rozlał i poplamił papier.

Energicznym ruchem kciuka zmieniła kształt owalu na kartce.

– No proszę – wykrzyknęła Cassie, pochylając się. – Rzeczywiście, ma pani rację.

– To nie zero – zatriumfowała matka – tylko „U", bez dwóch zdań.

– U-112 – podsumowałem.

Nagle ostry trzask rozbijanej butelki piwa przeszył ciszę. Profesor stał nieruchomo, kurczowo ściskając w dłoni resztki rozbitej Coronity.

– Profesorze, wszystko w porządku? – zapytałem zaniepokojony. – Co się stało?

Eduardo Castillo nie odpowiadał. Zesztywniał, wzrok miał utkwiony w jednym punkcie, a jego twarz pobladła. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

W milczeniu podszedł do stołu i drżącymi rękami chwycił fotokopię. Wpatrywał się w kod, który niespodziewanie odkryła moja matka.

– Niemożliwe… – wyszeptał ochryple. – Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć? Ulises, gdzie masz laptopa? – zapytał ze ściągniętą twarzą.

– W pokoju – odparłem skonsternowany, wskazując korytarz. Nie śmiałem pytać, do czego, u licha, jest mu potrzebny.

I tak pewnie by nie odpowiedział.

Pędził już do sypialni, ściskając tajemniczą fotokopię, jakby w salonie wybuchł pożar.

5

Profesor wrócił z moim komputerem pod pachą i położył go na stole. Bez słowa włączył urządzenie.

Wymieniliśmy się spojrzeniami, po czym razem z mamą i Cassie podeszliśmy i stanęliśmy za nim. Otworzył przeglądarkę i zaczął gorączkowo wpisywać w Google słowa kluczowe, najwyraźniej poszukując informacji zrozumiałych tylko dla siebie.

W końcu trafił na stronę poświęconą II wojnie światowej. Kliknął link do strony o armii niemieckiej, a następnie wybrał dział „Kriegsmarine" – marynarki wojennej. Zaraz potem otworzył nową zakładkę zatytułowaną „Unterseeboot" i, gdy tylko strona się załadowała, wszystko stało się jasne.

Pod tytułem „U-Boot. Flota podwodna" znajdował się obszerny artykuł, ilustrowany dziesiątkami czarno-białych zdjęć okrętów podwodnych nazistowskiej marynarki. Tekst opisywał ich rolę podczas wojny oraz dominację na Atlantyku przez większą część konfliktu. Naszą uwagę przykuło jednak coś innego: pod każdym zdjęciem widniały liczby składające się z od jednej do czterech cyfr, zawsze poprzedzone literą „U".

U-112 nie było kodem obiektu archeologicznego ani zaszyfrowaną lokalizacją.

U-112 było nazwą okrętu podwodnego.

– Jak pan na to wpadł, profesorze? – zapytałem.

Castillo, wyraźnie z siebie zadowolony, rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Z tego, co wiem, ta tematyka wydaje się dość odległa od pańskich zainteresowań.

– Niekoniecznie – odparł, marszcząc brwi. – Nigdy nie oglądałeś filmu o okrętach podwodnych? Wszystkie niemieckie jednostki miały numer identyfikacyjny zaczynający się od litery „U", od Unterseeboot.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie zwróciłem na to uwagi.

– Zaraz – wtrąciła Cassie, unosząc palec. – Czy dobrze rozumiem, że naziści transportowali swoje archeologiczne znaleziska ze środka dżungli sterowcem, by następnie przeładować je na okręt podwodny? To wydaje mi się nielogiczne.

– Dlaczego? – zapytał profesor.

– W latach trzydziestych sterowce pokonywały przecież ogromne odległości. Skoro jeden z nich przyleciał po eksponaty z Niemiec aż do Amazonii, to dlaczego nie mógł ich od razu przetransportować z powrotem?

– Uważam, że Cassandra ma rację – przyznała moja matka, zgadzając się z Meksykanką, być może wyłącznie po to, by zrobić na przekór profesorowi. – Nie wydaje mi się logiczne, żeby ryzykowali tak skomplikowaną operację jak przeładunek zabytków ze sterowca na okręt podwodny na środku oceanu. Moim zdaniem U-112 może oznaczać coś zupełnie innego.

Profesor Castillo pokręcił głową.

– Jestem przekonany, że to numer okrętu podwodnego.

– Zgadzam się z Eduardem – powiedziałem, opierając dłoń na oparciu jego krzesła. – Zbyt wiele zbiegów okoliczności, by uznać to za przypadek. To musi coś znaczyć.

– Na przykład? – zapytała moja matka, krzyżując ręce na piersi.

– Nie wiem... Może chcieli pozostać niezauważeni, a wiatr im nie sprzyjał? Albo sterowiec nie mógł udźwignąć takiego ciężaru w drodze powrotnej...

– A może miejsce docelowe było zbyt odległe, nawet dla sterowca – wtrącił profesor.

– To bardzo śmiała hipoteza – zauważyła Cassie. – Sam pan przyznał, że trudno wyobrazić sobie inny cel podróży niż Niemcy. Pamiętajmy, że prowadzili wtedy wojnę niemalże z całym światem.

– Formalnie rzecz biorąc – zaczął historyk, unosząc palec – w chwili wysłania przesyłki konflikt trwał niespełna rok i w stanie wojny z Niemcami byli jedynie europejscy alianci oraz ich dawne kolonie.

– W takim razie jaki kierunek pan sugeruje? – spytała Cassie.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – przyznał, pocierając brodę.

– Może spróbujemy to ustalić? – zaproponowała.

Profesor przez chwilę przyglądał się Meksykance, jakby zastanawiał się, czy mówi poważnie.

– W jaki sposób? Kogo chcesz pytać?

– Świętego Google'a, a kogo? – wzruszyła ramionami. – Profesorze, czy mógłby mi pan na chwilę pożyczyć krzesło?

Zaskoczony historyk natychmiast ustąpił jej miejsca. Cassie strzeliła palcami, a suchy trzask jej knykci przerwał chwilową ciszę.

Dziewczyna usiadła przed klawiaturą. Otworzyła Google i, wystukując powoli, jednym palcem, „U-112", wpisała zapytanie. Po naciśnięciu Enter ukazała się długa lista wyników.

Niewiele z nich dotyczyło okrętów podwodnych, ale Cassie szybko odnalazła obiecująco wyglądającą stronę poświęconą historii niemieckich U-Bootów. Widniało na niej czarno-białe zdjęcie niemieckiego okrętu podwodnego zacumowanego w porcie, do którego w zwartym szyku wchodzili marynarze.

Profesor wskazał zakładkę „Historia U-Bootów". Na ekranie pojawiła się długa lista numerów okrętów podwodnych, każdy poprzedzony literą „U".

Z bijącym sercem obserwowałem, jak kursor zbliża się do „U-112". Cassie kliknęła, a strona się załadowała.

Z każdym przeczytanym słowem nasza zgrabna hipoteza wydawała się coraz mniej prawdopodobna.

– Cholera – wymamrotałem, zaciskając palce na krawędzi stołu.

6

Okręt podwodny U-112, należący do typu XI, został zamówiony przez Kriegsmarine 17 stycznia 1939 roku. Niemniej jednak prace nad projektem zawieszono już 15 września tego samego roku.

Wyporność tego transportowego okrętu podwodnego, określanego również jako „U-Boot-Kreuzer" (krążownik podwodny), miała wynosić 4650 ton. Planowano zbudować cztery identyczne jednostki: U-112, U-113, U-114 i U-115. Po ukończeniu stałyby się one największymi okrętami podwodnymi w historii, zdolnymi do transportu podwodnego na znaczne odległości. Pomimo postępujących prac nad U-112, Kriegsmarine anulowała zamówienie z powodu ograniczeń budżetowych.

Ogarnęło nas rozczarowanie, gdy w Internecie znaleźliśmy jedynie lakoniczną wzmiankę o nieistniejącym okręcie podwodnym U-112. Po moim cichym przekleństwie ciszę przerwało nagłe klaśnięcie profesora.

– Doskonale! Po prostu doskonale! – wykrzyknął z entuzjazmem.

Spojrzeliśmy na niego nieco oszołomieni.

– Chyba pan żartuje, profesorze – powiedziała Cassie, odwracając się na krześle. – Proszę podejść bliżej i przeczytać to jeszcze raz.

– Już przeczytałem – odparł z szerokim uśmiechem. – I uważam, że to najlepsza wiadomość, jaką mogliśmy usłyszeć.

– Uważa pan za dobrą wiadomość informację, że okręt podwodny, którego szukamy, nie istnieje? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Ja podzielam zdanie profesora – dodała Cassie. – Jeśli założymy, że okręt nie istnieje, możemy skupić się na...

– Chwileczkę – przerwał Castillo, unosząc dłoń. – Nie o to mi chodziło. To najlepsza wiadomość właśnie dlatego, że potwierdza budowę U-112.

– Przyznaję, że się pogubiłam – wymamrotała moja matka.

– Nie rozumiecie? – Profesor, podnosząc głos, stuknął palcem w ekran. – Wszystko się zgadza! Rok rozpoczęcia projektu, przeznaczenie okrętu jako transportera dalekiego zasięgu i anulowanie budowy przez niemiecką marynarkę – te elementy idealnie do siebie pasują!

– Rozumiem, ale skąd pewność, że okręt w ogóle powstał, skoro dokumentacja mówi o zaniechaniu projektu? – dopytywałem.

– Dokumenty nie stwierdzają, że okręt nie powstał – odparł profesor, wskazując fragment tekstu. – Informują jedynie o anulowaniu zamówienia przez Kriegsmarine z powodu problemów budżetowych. Nie ma tam wzmianki o przerwaniu budowy; wręcz przeciwnie, można odnaleźć sugestie o jej zaawansowaniu. Czyż inna organizacja nie mogła przejąć projektu i dokończyć go na własny użytek?

– Inna organizacja nazistowska? – Cassie zmarszczyła brwi.

– Nie zapominajcie o pułkowniku Stauffelu, którego znaleźliśmy martwego obok notatek. Był oficerem SS-Ahnenerbe.

– Pamiętam. I co z tego?

– Nie widzicie związku? Ta organizacja działała niezależnie od armii i podlegała bezpośrednio Himmlerowi lub Hitlerowi. Ahnenerbe, jako pseudonaukowa agenda SS, dysponowała jednostkami wojskowymi przeznaczonymi do tajnych operacji.

– Włącznie z okrętami podwodnymi? – dopytywałem.

– Włącznie z okrętami podwodnymi – potwierdził profesor z triumfalnym uśmiechem.

Cassie chyba wciąż nie była przekonana.

– To wszystko brzmi bardzo spekulatywnie.

– A mnie pan przekonał – oświadczyła nieoczekiwanie moja matka.

– Dobrze, załóżmy, że ma pan rację – odparłem, rozważając tę hipotezę. – Załóżmy, że U-112 rzeczywiście istniał i przewoził część łupów z Czarnego Miasta. Jak, u licha, mamy się dowiedzieć, co

dokładnie transportował i dokąd zmierzał? Skoro okręt służył do tajnych operacji SS-Ahnenerbe, wątpię, by raporty z ich misji, cele czy listy ładunków były dostępne w Internecie.

Profesor zamyślił się, podrapał po szyi i zmarszczył brwi.

– W takim razie – mruknął, bardziej do siebie niż do nas – muszę poszukać innego rozwiązania.

Bez słowa wyjął z teczki starą, zniszczoną książkę telefoniczną i nerwowo zaczął ją wertować, jakby sam nie wiedział, czego dokładnie szuka.

– Aha! – wykrzyknął wreszcie. Nie zamykając książki, sięgnął po słuchawkę, wybrał numer i niemal natychmiast się połączył. Eduardo przedstawił się, upewnił, czy rozmówca go pamięta, wymienił kilka uprzejmości i umówił się na spotkanie za godzinę.

– Z kim się pan umówił? – zapytała Cassie.

– Z kim my się umówiliśmy – poprawił ją profesor, unosząc brwi. – A odpowiedź brzmi… – dodał z tajemniczym uśmiechem – z kimś, kto może znać odpowiedzi na nasze pytania.

7

Po pożegnaniu z matką, która jak zawsze brylowała w towarzystwie i właśnie zaczęła szykować się na wieczorny wypad do teatru z koleżankami, punktualnie, razem z Cassie i profesorem, zapukaliśmy do drzwi odrapanego, piętrowego domu z początku XX wieku. Budynek stał w barcelońskiej dzielnicy Poblenou, niedaleko plaży Mar Bella.

Dopiero po drugim dzwonku zza drzwi dobiegł szorstki kobiecy głos.

– Kto tam? – zapytała oschle.

– Dzień dobry, przyszliśmy do Ernesta – odparł profesor, podchodząc bliżej drzwi.

– Do Ernesta? W jakiej sprawie?

Profesor zawahał się, po czym, mówiąc wprost do wizjera, wymamrotał coś o sprawach zawodowych.

Rozległ się szczęk odsuwanych rygli i zamków, a w progu stanęła potężna kobieta o twarzy buldoga, ubrana w różowy, pikowany szlafrok i z wałkami na głowie. Na jej widok poczułem szczerą chęć ucieczki.

– Dzień dobry – powiedział profesor, z trudem przełykając ślinę.

– W jakiej sprawie chcecie się widzieć z moim synem? – burknęła, lustrując nas wzrokiem. – Nie szukacie tu przypadkiem narkotyków?

– Ależ skąd, szanowna pani. Żadnych narkotyków. Jestem jego byłym profesorem i chciałbym go tylko o coś zapytać.

– Ernesta? – odparła zdumiona, jakbyśmy zaproponowali wyprawę w kosmos. – Chyba zaszła jakaś pomyłka…

– Mamo! – rozległ się krzyk z góry. – Wpuść ich wreszcie, do cholery!

Kobieta po raz kolejny zmierzyła nas wzrokiem i z wyraźną nieufnością niechętnie usunęła się z drogi, wskazując nam schody.

Weszliśmy w milczeniu do mrocznego domu, wypełnionego koronkowymi serwetkami i osobliwymi porcelanowymi figurkami. W połowie schodów usłyszeliśmy ostrzeżenie:

– Żadnych narkotyków! Bo wezwę policję.

„Czy naprawdę wyglądamy na dilerów?" – pomyślałem zaskoczony.

Na piętrze, za otwartymi drzwiami, naszym oczom ukazało się miniaturowe muzeum. Ściany zdobiły stare plakaty, od słynnego „I want you" z Wujkiem Samem, który groźnie wskazywał palcem, po brytyjskie, rosyjskie i niemieckie afisze nawołujące do wstąpienia do wojska lub wsparcia finansowego działań wojennych.

Półki uginały się pod ciężarem makiet i dioram przedstawiających czołgi, żołnierzy oraz misternie odtworzone sceny bitewne. Pod sufitem, zawieszona na żyłkach, wirowała eskadra brytyjskich Spitfire'ów, jakby toczyła walkę powietrzną z niemieckimi bombowcami Heinkel 111 – miniaturowa Bitwa o Anglię, zamknięta w czterech ścianach.

Na środku pokoju stał korpulentny chłopak w dresowych spodniach poplamionych wybielaczem i za dużej koszulce Iron Maiden. Przedwczesna łysina i grube okulary kontrastowały z bladą cerą, typową dla kogoś, kto rzadko przebywa na świeżym powietrzu. Kołysząc się lekko, podszedł do profesora, uścisnął mu dłoń i powitał serdecznym uśmiechem.

– Kopę lat, profesorze! – zawołał chłopak.

– Chyba od obrony magisterki – odparł Castillo z uśmiechem, klepiąc go przyjacielsko po brzuchu. – Widzę, że schudłeś.

– To przez matkę – chce mnie wykończyć sałatą i gotowanymi warzywami – skomentował z rezygnacją. – Co pana tu sprowadza... – zaczął, po czym, widząc Cassie, dodał: – ...i to w tak urokliwym towarzystwie?

– Pozwólcie, że was sobie przedstawię. To Ernesto García – profesor wskazał na chłopaka. – A to Cassandra Brooks. – W odpowiedzi na powitanie dziewczyna obdarzyła Ernesta kilkoma głośnymi pocałunkami w policzek. – I Ulises Vidal. Moi dobrzy przyjaciele.

Mnie chłopak skinął jedynie głową. Przynajmniej uniknąłem wylewnego powitania.

– Siadajcie, proszę – powiedział, wskazując na niepościelone łóżko, zawalone brudnymi ubraniami.

Cassie rozejrzała się za krzesłem, ale jedynym meblem w pobliżu był fotel biurowy stojący za Ernestem, który właśnie zasiadał przed komputerem. Nie mając innego wyboru, usiadła na łóżku pośród sterty porozrzucanych ubrań.

– Dobrze, słucham – powiedział młodzieniec, bez skrępowania wpatrując się w Cassie. Odniosłem wrażenie, że chłopak próbuje utrwalić jej obraz w pamięci, być może na potrzeby przyszłych erotycznych fantazji.

– Jak już mówiłem przez telefon – wtrącił profesor – potrzebuję twojej pomocy w pewnym śledztwie.

– Oczywiście, profesorze – odparł Ernesto, rozsiadając się w fotelu biurowym. – O co konkretnie chodzi?

Profesor Castillo spojrzał na oboje.

– Na razie nie mogę zdradzać szczegółów – oznajmił. – Jestem jednak przekonany, że możesz nam pomóc. Poszukujemy niemieckiego okrętu podwodnego z czasów II wojny światowej.

– Tylko tyle? – zapytał zaskoczony Ernesto. – To drobiazg! Z moją bazą danych o niemieckiej armii mógłbym odnaleźć nawet zaginioną kulę.

Odwrócił się do komputera i zaczął gorączkowo stukać w klawiaturę.

– Jak nazywa się ten okręt? – zapytał z entuzjazmem.

– Chodzi o U-112.

Młodzieniec w koszulce heavymetalowego zespołu zamarł. Zatrzymał palce nad klawiaturą i obrócił fotel w naszą stronę. Uśmiech zniknął z jego twarzy, a zastąpiło go uważne, badawcze spojrzenie.

– Chwileczkę, profesorze... – powiedział powoli. – Czego pan tak naprawdę szuka?

– Już ci powiedziałem. Przykro mi, że nie mogę zdradzić więcej, ale zapewniam cię, że to bardzo ważne.

– Ważne dla kogo?

– Dla wszystkich – wtrąciłem, próbując zwrócić jego uwagę. – Całkiem możliwe, że również dla ciebie.

Ernesto odwrócił się do profesora i wbił w niego wzrok.

– Obiecuję ci – powiedział Eduardo – że na bieżąco będziemy cię informować o wszystkim, co ustalimy.

Napięta cisza trwała niemal minutę, zanim gospodarz ponownie zabrał głos.

– Budowę U-112 wstrzymano we wrześniu 1939 roku, a projekt ostatecznie porzucono w 1940 – oznajmił w końcu, nawet nie sięgając do archiwum.

– Cóż – mruknęła Cassie z rozczarowaniem. – To tylko potwierdza nasze dotychczasowe ustalenia.

Ernesto spojrzał na archeolożkę przenikliwie.

– Choć w rzeczywistości... – uśmiechnął się przebiegle – jego budowę ukończono potajemnie na rozkaz samego Führera i oddano do dyspozycji SS.

– Wiedziałem! – wykrzyknął rozradowany profesor.

– Zaskakuje mnie, że pytacie akurat o ten okręt – przyznał młodzieniec. – To jedna z największych tajemnic wojskowych Trzeciej Rzeszy, o której nawet dziś wie niewiele osób.

– Dlaczego był aż tak tajny? – zapytała Cassie. – Przecież to tylko okręt podwodny, prawda?

Ernesto spojrzał w jej zielone oczy.

– To była niezwykła jednostka – wyjaśnił. – Największy okręt podwodny swoich czasów, zdolny do transportu setek osób i ogromnych ilości sprzętu w odległe rejony świata, a przy tym praktycznie niewykrywalny. I choć w pewnym sensie masz rację – dodał, mrugając okiem – to nie sam okręt, lecz misje, które mu powierzano,

są najbardziej intrygujące. Po co SS potrzebowało tak potężnej jednostki? Co nią transportowano i dokąd?

– Właśnie to chcemy ustalić! – wykrzyknął podekscytowany profesor.

– W takim razie, obawiam się, że pana rozczaruję. Nikt nie wie tego z całą pewnością.

– Nikt? Chcesz powiedzieć… że nawet ty?

– Niestety, muszę przyznać, że nie istnieje żadna oficjalna dokumentacja precyzująca zadania U-112 w czasie jego służby. To prawdziwy Święty Graal dla pasjonatów II wojny światowej.

– Świetnie – mruknęła Cassie.

– Czy nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc? – zapytał błagalnym tonem profesor. – Kogoś, kto… hm, miałby więcej informacji na ten temat?

– Przykro mi, profesorze – odparł, kręcąc głową. – Proszę mi wierzyć, nikt nie dysponuje w pełni wiarygodnymi danymi.

– Rozumiem…

– Chwileczkę – przerwałem im, krzyżując ramiona i opierając się o ościeżnicę. – Mówiłeś o „oficjalnych" i „wiarygodnych" źródłach. A co z nieoficjalnymi, mniej pewnymi? Twoja reakcja na nazwę okrętu sugeruje, że coś jednak wiesz.

Były uczeń profesora spojrzał na mnie i lekko się uśmiechnął.

– Masz rację – przyznał, splatając opuszki palców w sposób, który przywodził na myśl czarny charakter z jakiegoś wyjątkowo tandetnego serialu. – Jest coś więcej, ale uprzedzam: to jedynie podejrzenia i niesprawdzone plotki.

8

Profesor Castillo podszedł do Ernesta i oparł dłonie o poręcze jego fotela.

– Plotki? – zapytał, pochylając się. – Jakie plotki masz na myśli?

– W sieci krąży wiele sprzecznych informacji. Relacje marynarzy z forów internetowych, nieścisłości w oficjalnych dokumentach... – odparł chłopak, wyraźnie onieśmielony nagłym zainteresowaniem dawnego mistrza. – Na przykład to, że U-112 rzekomo przydzielono do tajnego projektu Ahnenerbe, kierowanego osobiście przez Heinricha Himmlera, gdzie miał służyć w nim od października 1939 do lipca 1940 roku.

– Zaledwie dziesięć miesięcy? – zdziwił się profesor. – Zabrakło im funduszy?

– Niezupełnie – odparł Ernest z grymasem. – Choć brakuje dowodów i oficjalnych dokumentów, wszystko wskazuje na to, że U-112 prawdopodobnie został zatopiony przez brytyjskiego niszczyciela.

– Co konkretnie masz na myśli?

– O tym akurat jestem przekonany. Żaden dokument nie wspomina o zatopieniu U-112, a co więcej, nie znalazłem dowodów na jego istnienie. Mam kopię... – wymamrotał, stukając w klawiaturę. – Tak, tutaj – wskazał na ekran. – To fragment dziennika okrętowego brytyjskiego niszczyciela HMS Stintson, który znalazłem na forum weteranów Royal Navy. Uważam, że to niezwykle interesujące.

Na monitorze wyświetlił się zeskanowany obraz pożółkłej kartki z notatnika, zapisanej odręcznie po angielsku. Mimo upływu czasu tekst pozostał doskonale czytelny.

– Na tej stronie – Ernest wskazał ekran – znajduje się szczegółowy opis zatonięcia dużego niemieckiego okrętu podwodnego. Co ciekawe, nie miał on żadnych oznaczeń, a jego konstrukcja była dość nietypowa. Do zdarzenia doszło dwunastego lipca 1940 roku, około dwóch mil od wybrzeża i siedemdziesiąt pięć mil na południe od portu Walvis Bay. Jestem niemal pewien, że to nasz okręt.

– Co daje ci tę pewność?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Metoda eliminacji – odparł. – U-112 to jeden z nielicznych niemieckich okrętów podwodnych, który ani nie skapitulował, ani nie został zatopiony. Brak oznaczeń staje się zrozumiały, jeśli brał udział w tajnych operacjach SS. Co więcej, był dużym okrętem o nietypowej konstrukcji, a jego zniknięcie z oficjalnych raportów zbiega się w czasie z datą zatopienia wspomnianą w dzienniku. – Podrapał się po karku. – Wszystkie elementy układanki pasują do siebie.

– Rozumiem – odparł zamyślony profesor, powoli kiwając głową. – To ma sens.

– I to bardzo duży.

– Walvis Bay? – zapytałem, marszcząc brwi. – Gdzie to właściwie jest?

– Zaraz sprawdzimy – odparła Cassie, wstając i sprawnie odsuwając Ernesta od komputera.

Natychmiast kliknęła ikonę Google Earth. Wpisała „Walvis Bay" i kula ziemska zaczęła się przybliżać na ekranie. Początkowo rozmazany obraz mapy szybko się wyostrzył, ukazując krystalicznie wyraźne zdjęcie satelitarne z zaznaczoną lokalizacją zatonięcia U-112.

– Cholera – mruknąłem pod nosem, uświadamiając sobie, co widzę. – Jak to możliwe?

– To na pewno jakiś błąd – stwierdziła Cassie.

– Co tu robi niemiecki okręt podwodny? – powiedział profesor Castillo, marszcząc brwi.

9

Zafascynowani wpatrywaliśmy się w błękitno-ochrową fotografię Ziemi.

– Wybrzeże Namibii – oznajmił Ernesto, wskazując na ekran komputera. – Południowo-zachodni kraniec Afryki.

– Tuż przy pustyni – dodałem z ironią. – Doprawdy niefortunne miejsce na morską katastrofę. Rozbitek zamiast ratunku trafiłby w jeden z najbardziej odległych zakątków globu, z minimalnymi szansami na przeżycie.

– Więc to jest Wybrzeże Szkieletów? – zapytał profesor.

– Zgadza się. Nazwa nie jest przypadkowa.

– Nie rozumiem tylko, co okręt podwodny robił u wybrzeży Afryki – powiedziała Cassie.

Student profesora, najwidoczniej chcąc zaimponować Meksykance, podrapał się po brodzie i zaczął mówić poważnym tonem.

– W tamtym czasie obszar ten znajdował się pod kontrolą Republiki Południowej Afryki, a wcześniej, do połowy I wojny światowej, Namibia była kolonią niemiecką, znaną jako Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia. Do dziś potomkowie niemieckich osadników stanowią tam wpływową elitę. – Pochylił się nad mapą i wskazał na ekranie kilka punktów, dodając: – Nazwy miejscowości, takie jak Lüderitz czy Helmeringhausen, wyraźnie świadczą o trwałym niemieckim wpływie w tamtym rejonie.

– Co konkretnie sugerujesz?

– Czy niemieccy osadnicy sympatyzujący z nazistami mogli udzielić załodze U-112 wsparcia logistycznego? A może Anglicy wytropili

okręt, gdy ten uzupełniał zapasy u wybrzeży Namibii? – Ernesto naśladował odgłos strzałów z karabinu. – Pif, paf! I po chłopakach.

Zapadła cisza. Przez chwilę milczeliśmy, rozważając tę hipotezę. Ernesto spokojnie czekał na naszą reakcję.

– Dobrze, załóżmy, że to prawda – mruknąłem. – Ale jaki był cel tej podróży? Nadal nie rozumiem, co ten okręt miałby robić u wybrzeży Namibii. To zbyt daleko zarówno od Brazylii, jak i od Niemiec.

– Mogli... – zamyślił się profesor – płynąć do Japonii, okrążając Przylądek Horn. Tam zapewne planowali uzupełnić zapasy, zwłaszcza że naziści i Japończycy byli wówczas sojusznikami.

– To możliwe – przyznała Cassie. – Ale czy to coś zmienia? Oddalamy się od sedna. Po co nam wiedza o kierunku, w którym płynął ten okręt? Chcieliśmy jedynie potwierdzić jego istnienie i ustalić, co się z nim stało. Teraz już wiemy: istniał i zatonął. I na tym powinniśmy poprzestać.

– Niekoniecznie – odparłem. – Jeśli artefakty archeologiczne opuściły Czarne Miasto sterowcem w czerwcu 1940 roku, a już miesiąc później znalazły się na pokładzie U-112, to dlaczego tak się stało? Ustalenie celu transportu tych przedmiotów mogłoby nas naprowadzić na właściwy trop. Wyobraźcie sobie, na przykład, tajny magazyn, gdzie składowano wszystkie znaleziska z Czarnego Miasta.

Zamilkłem, zaskoczony ich niespodziewaną, jawną dezaprobatą. Dopiero głos zza moich pleców uzmysłowił mi powód tej reakcji.

– Artefakty archeologiczne? Czarne Miasto? Sterowce? – Ernesto wpatrywał się w profesora. W jego szarych, zwykle obojętnych oczach malowało się wyraźne zaskoczenie. – Czy mógłby pan wyjaśnić, o czym pan mówi?

– Cholerny papla...

10

Staraliśmy się unikać szczegółowych wyjaśnień. Niestety, przez moją nieuwagę musieliśmy wyjawić Ernestowi przynajmniej cel naszych poszukiwań – rzecz jasna po tym, jak wymusiliśmy na nim przysięgę milczenia.

Co za ironia!

Byłem pewien, że w ciągu paru godzin nasza historia wyląduje na jego kanale na YouTubie, wywoła potężną burzę i stanie się hitem sieci. Z drugiej strony pocieszałem się myślą, że nasza reputacja i tak już dawno legła w gruzach. W Internecie krąży o nas tyle wyssanych z palca bzdur, że tę ludzie wezmą pewnie za kolejną bajeczkę. Za tydzień i tak wszystko przykryją plotki o Billu Gatesie-reptilianinie albo inne kosmiczne teorie spiskowe, choćby ta o Bayernie Monachium, który rzekomo dodaje mikroczipy do aspiryny, żeby zdalnie sterować ludźmi.

– Szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć – powiedział Ernesto i uniósł brwi. – Zaginione miasto w Amazonii, naziści i dzikie plemiona… To brzmi jak mało zaskakujący scenariusz filmu przygodowego. W życiu o czymś takim nie słyszałem.

– Profesor mówił o tym w zeszłym tygodniu w telewizji – wypaliłem bez namysłu i od razu ugryzłem się w język.

– Nie mam telewizora – odparł chłopak i omiótł wzrokiem pokój. – I to by było na tyle? Nic więcej nie macie?

– Zostały jeszcze notatniki pułkownika Stauffela – przypomniał profesor.

– Tylko tyle? – zapytał, nie kryjąc zdziwienia. – Sami chyba przyznacie, że to, co tu usłyszałem, brzmi cokolwiek osobliwie…

– Cóż – odparła Cassie. – Mamy coś jeszcze. To może nie bezpośredni dowód, ale doskonale uzupełnia on naszą wersję.

Otworzyła Google Earth i wklepała współrzędne, które nawet obudzony w środku nocy wyrecytowałbym z pamięci: 7°59' szerokości geograficznej południowej oraz 52°48' długości geograficznej zachodniej.

Obraz natychmiast przeniósł nas z surowego wybrzeża Namibii wprost do serca brazylijskiej dżungli, nad rzekę Xingú. Choć zdjęcie ładowało się powoli, w końcu ukazało się w pełnej rozdzielczości. Cała nasza czwórka, która bardzo dobrze znała to miejsce, zamarła przed ekranem z mieszaniną zachwytu i niepokoju. Komuś postronnemu widok mógł wydawać się niepozorny, lecz dla nas – mówił sam za siebie. Aż trudno uwierzyć, że dotąd umknął czyjejkolwiek uwadze.

– Na co właściwie patrzę? – zapytał Ernesto, przez dłuższą chwilę wpatrując się w z pozoru bezkresną zieleń.

– Powiedz sam – odparła Meksykanka. – Nic nie wydaje ci się tu podejrzane? Nie widzisz nic... jak to nazwałeś? Niezwykłego?

Młody człowiek pochylił się niemal nad samym ekranem i już miał odwrócić wzrok, gdy nagle wskazał palcem jeden punkt.

– Co to jest? – zapytał i spojrzał na nas.

– Nie chcę nic sugerować – odparła Cassie. – Co ci to przypomina?

– Kształtem? Nieregularną, pięcioramienną gwiazdę z pięciokątem w samym środku.

– Właśnie! – wykrzyknął triumfalnie profesor. – Dokładnie tak wygląda z lotu ptaka Czarne Miasto: to ogromna, pięcioramienna struktura rozciągająca się na kilka kilometrów, w której mury wyznaczają centralny pentagon. Choć gęsta dżungla utrudnia dostrzeżenie tego kształtu, wprawne oko bez trudu go namierzy.

Ernesto wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła.

– Gdyby nie pan... – mruknął, chowając chusteczkę. – Pomyślałbym, że robicie sobie ze mnie żarty, a to zdjęcie satelitarne to zwykły fotomontaż. Ale to chyba niemożliwe, prawda? – dotknął palcem ekranu. – To zdjęcie jest autentyczne?

– Tak samo autentyczne jak nasza obecność tutaj.

Mężczyzna wyglądał na całkowicie zbitego z tropu.

– Przypominam – dodała szybko Cassie, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć – że obiecałeś trzymać język za zębami.

– Ale...

– Bez żadnego „ale".

– Nie rozumiem, po co ta cała tajemnica – zaprotestował Ernesto – ...skoro twierdzicie, że profesor trąbił o tym w telewizji?

– Przedstawiłem to tylko pobieżnie – powiedział Castillo. – Bez wchodzenia w szczegóły. Nasza reputacja i tak już dość ucierpiała, więc nie chcemy jej dodatkowo pogarszać. Dopóki nie zdobędziemy żelaznych dowodów, wolałbym nie wyciągać tego na światło dzienne.

Młody człowiek zawahał się, po czym skinął głową.

– Dobrze, profesorze. Obiecuję milczeć – zapewnił, przykładając palce do ust w symbolicznym geście, jakby zamykał je na suwak.

– Dobra, zostawmy to – rzuciłem, chcąc zmienić temat. – Jestem przekonany, że nie mamy powodów do zmartwień – dodałem, usiłując brzmieć pewnie, choć sam do końca w to nie wierzyłem. Poklepałem go przyjacielsko po ramieniu i zapytałem: – Myślisz, że sterowiec mógł przekazać ładunek tamtemu okrętowi podwodnemu? I gdzie, twoim zdaniem, załoga mogła go potem wyładować? Po co w ogóle mieliby to robić?

Ernesto zamyślił się głęboko. Podrapał się po nosie, karku i uchu, a gdy już zacząłem się obawiać, gdzie podrapie się za chwilę, zmrużył oczy i głośno cmoknął.

– Jeśli chodzi o pierwszą kwestię – zaczął ostrożnie – to, mimo braku twardych dowodów, jest to teoretycznie możliwe. Natomiast co do drugiej... – zawiesił głos – trudno wskazać konkretną lokalizację. Logika podpowiada Niemcy, ale tu zaczynają się schody.

– Jakie? – spytała Cassie.

– Gdyby artefakty trafiły do Niemiec, ktoś dawno by je odnalazł. Skoro jednak nie ma po nich śladu...

– A Namibia? – zapytałem. – Może wcale nie chodziło o uzupełnienie zapasów, tylko o ukrycie ładunku w jakiejś tajnej

lokalizacji? Pustynia to wprost idealne miejsce na schowanie czegoś takiego.

– Niemieccy osadnicy mogliby w tym pomóc – dodał profesor. – Gdybyśmy tylko odnaleźli to miejsce, jakiś magazyn czy skrytkę. Kto wie, co tam na nas czeka? Z pewnością kryją się tam cenne dokumenty: archiwa, raporty, listy... Moglibyśmy uderzyć prosto do Centrum Dokumentacji Nazizmu w Monachium, gdzie na zbadanie wciąż czekają tysiące materiałów SS i Ahnenerbe.

– Być może w którymś z nich znajduje się wzmianka o miejscu ukrycia artefaktów – powiedziała Meksykanka z narastającym podekscytowaniem w głosie. – Jak na to trafimy, będziemy mieli w ręku wszystkie asy.

– Zaraz, zaraz, nie galopujcie tak – przerwałem, unosząc ręce. – Kto by pomyślał, że to ja będę musiał sprowadzać was na ziemię. Nawet jeśli taki magazyn istnieje – w co sam wątpię – szukanie go może zająć miesiące, a nawet lata. Poza tym bez znajomości niemieckiego jesteśmy ugotowani.

Profesor powoli pokiwał głową.

– To prawda – przyznał. – Ale to najlepszy, a właściwie jedyny trop, jaki mamy.

– Nie jedyny. Jest jeszcze zatopiony okręt podwodny.

– Rzekomo zatopiony – podkreślił Ernesto.

– Rzekomo zatopiony – powtórzyłem. – I to osiemdziesiąt lat temu, u wybrzeży jednego z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie. Wiem o tym. Niemniej uważam, że to nasza największa szansa, o niebo lepsza niż przerzucanie zakurzonych papierów w archiwach. Przynajmniej znamy orientacyjną lokalizację.

Cassie zmarszczyła brwi i przyjrzała mi się uważnie.

– Co masz na myśli?

– Sama się domyśl – odparłem i posłałem jej jeden z moich popisowych, kpiących uśmieszków.

Malujące się w jej oczach niezrozumienie powoli ustępowało miejsca nerwowemu uśmiechowi. Gdy w końcu pojęła, że mówię poważnie, aż ją zatkało z niedowierzania.

– Jesteś nienormalny – wydusiła wreszcie.

– Myślałem, że to już dawno ustaliliśmy – odparłem.

Profesor spoglądał to na mnie, to na nią, próbując odgadnąć, o co nam chodzi.

– O czym wy w ogóle mówicie? – zapytał zdezorientowany.

Niedługo potem, obiecawszy Ernesto, że będę informował go o postępach, zaprosiłem Cassie i profesora na kawę do kawiarni Altaïr przy Gran Vía.

Żeby uniknąć tłoku w metrze, wzięliśmy taryfę. W piwnicy księgarni, w głębi sali, zajęliśmy stolik otoczony atlasami i przewodnikami. Ledwie kelner zdążył postawić przed nami filiżanki, odsunąłem je na bok i rozłożyłem na drewnianym blacie mapę Namibii, którą wcześniej zgarnąłem z działu poświęconego Afryce Zachodniej.

– Co to? – zapytał profesor, wolno mieszając cappuccino.

– Mapa Namibii – odpowiedziałem.

Cassie cmoknęła z dezaprobatą.

– Mówisz poważnie… Myślałam, że żartujesz.

– Żartuję? W ten sposób udowodnilibyśmy naszą teorię. Poza tym jako odkrywcy wraku mielibyśmy pełne prawo zatrzymać jego ładunek. Jeśli okręt faktycznie przewoził relikwie i zabytki wywiezione z Czarnego Miasta, ich wartość byłaby wręcz kosmiczna.

– Aha, rozumiem – prychnęła. – Czyli cała ta wielka misja to zwykły skok na kasę? Chodzi ci tylko o pieniądze?

– No, nie tylko o to chodzi – poprawiłem się szybko, widząc jej niebezpiecznie ściągnięte brwi. – Ale co w tym złego? Przecież zyskalibyśmy na tym wszyscy: wyciągnęlibyśmy rzeczy, które inaczej zniszczeją na dnie, potwierdzili naszą teorię i jeszcze zarobili. Słowo daję, zasłużyliśmy na to.

– Cóż… – mruknął profesor, drapiąc się po głowie. – Choć twoje pobudki są wątpliwe moralnie, być może masz trochę racji.

– Profesorze! – poskarżyła się Cassie, odchylając się na krześle. – Brakowało tylko tego, żeby przyznał pan mu jeszcze rację.

– No cóż, nie da się ukryć, że trochę jej ma.

– Nie o rację tu chodzi, tylko o to, jak absurdalny jest ten pomysł. Mogę podać sto powodów, dla których to totalny niewypał.

– Na przykład? – zapytałem, krzyżując ręce na piersi.

Cassie pokręciła głową z wyraźnym rozczarowaniem.

– Nie powinnam ci tego w ogóle tłumaczyć – powiedziała zirytowana – ale sam wiesz, jak wyglądają podwodne poszukiwania. Szczególnie przy tak niepewnych wskazówkach od Ernesta. Nie wiemy, jak głęboko leży okręt, czy da się do niego dotrzeć i czy nie przysypał go piasek. Nie mamy pojęcia, w jakim stanie jest wrak i czy nie rozpadł się na kawałki. Brak też pewności, czy cokolwiek ocalało przed destrukcyjnym działaniem słonej wody... – Westchnęła. – Poza tym taka impreza kosztuje fortunę. Nie wiem jak wy, ale ja nie zauważyłam na koncie żadnego zbędnego miliona euro. Zresztą – wskazała na filiżankę – zaczynam się wręcz zastanawiać, czy aby nie wyjdę stąd z czystym kontem po zapłaceniu za tę kawę.

Wszystkie te trudności analizowałem już wcześniej, wierząc, że jakoś sobie z nimi poradzimy. Jak zawsze jednak, barierą nie do przebycia okazały się pieniądze. Cassie uderzyła w najczulszy punkt – nie miałem ani kontrargumentów, ani grosza przy duszy. Celowo omijałem ten temat, lecz teraz przyszedł moment, by przyznać jej rację.

– Milion euro? – zamyślił się profesor. – Naprawdę sądzisz, że to aż tyle pochłonie?

Cassie spojrzała na niego rozbawiona.

– Nawet dwa razy tyle – dodała. – Chyba nie powie mi pan, że dysponuje pan taką kwotą?

– Ja? – zapytał i wskazał na siebie z rozbawieniem. – Z mojej profesorskiej emerytury raczej takiej sumy nie wysupłam, ale... – urwał, pochylił się nad stołem i uśmiechnął się tajemniczo. – Znam kogoś, kto tyle ma.

11

Z głośników windy sączyła się delikatna, instrumentalna wersja utworu *Garota de Ipanema*. Ściany i sufit kabiny zamieniły się w ekrany o wysokiej rozdzielczości, wyświetlające panoramę Barcelony. Iluzja była tak realistyczna, że winda sprawiała wrażenie szklanej kuli zawieszonej w powietrzu. Mimo świadomości, że to tylko projekcja, odruchowo cofnęliśmy się od ekranów sięgających od podłogi do sufitu, jakbyśmy bali się upadku.

– To okropne – wymamrotał profesor, wytrzeszczając oczy, a jego twarz pobladła.

– Myślałam, że boisz się latać, a nie jeździć windą – powiedziała Cassie, uspokajająco głaszcząc go po plecach.

– Nie boję się latać – odparł spięty. – Boję się wypadnięcia z samolotu. A ten wynalazek, który wygląda, jakby w ogóle nie miał ścian… Kto to wymyślił?

– Pewnie ktoś, kto ma za dużo pieniędzy – odparłem, wpatrując się w majestatyczną Sagradę Famílię górującą nad miastem – i lubi robić wrażenie na gościach.

Na hologramie nad naszymi głowami szybko przesuwały się numery pięter, sygnalizując zbliżanie się do szczytu nowo ukończonego wieżowca. Dwa ostatnie piętra zajmowała prywatna rezydencja Maximiliana Parda, często goszcząca na okładkach magazynów plotkarskich i architektonicznych. Dostęp do luksusowego apartamentu zapewniała wyłącznie ta prywatna winda, wyposażona jedynie w trzy przyciski: Parking, Recepcja i Penthouse.

Po kilku sekundach winda zwolniła i zatrzymała się z ledwie słyszalnym kliknięciem, a cichy dzwonek zasygnalizował dotarcie na

miejsce. Kiedy drzwi się rozsunęły, ujrzeliśmy wnętrze, które z pewnością nie zasługiwało na miano apartamentu. W porównaniu z nim moja klitka przy ulicy París wyglądała jak nędzna rudera.

Staliśmy na progu windy, wpatrując się w ciemną, drewnianą podłogę wypolerowaną na wysoki połysk. Za rzędem ogromnych okien rozciągała się tajemnicza panorama jesiennego miasta, spowitego mgłą i chmurami.

Jeszcze bardziej oszałamiająca okazała się otwarta przestrzeń, zajmująca kilkaset metrów kwadratowych, rozciągająca się od okien aż do miejsca, gdzie staliśmy. Urządzona z gustem i dyskretnym luksusem, pozbawiona ostentacji, a jednocześnie ewidentnie kosztowna, emanowała męskim charakterem i zdradzała, że to dom bardzo bogatego kawalera.

Jako pierwsza milczenie przerwała Cassie.

– *Híjole*...

– Co za cuda – wymamrotał z podziwem profesor. – Nigdy nie byłem w takim miejscu.

Przyznam, że byłem równie oczarowany tym wymarzonym mieszkaniem co reszta, choć starałem się tego nie okazywać.

Nagle po naszej prawej stronie usłyszeliśmy kroki. Z górnego piętra, po szerokich, krętych schodach schodził mężczyzna. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat, był wysoki, atletyczny, z włosami przyprószonymi siwizną. Ubrany był swobodnie: w dżinsy, T-shirt i sportowe buty. Na nasz widok rozłożył ramiona w powitalnym geście, zupełnie jakbyśmy znali się od lat.

– Witajcie! – zawołał z uśmiechem eksponującym jego lśniące zęby. – Bardzo dziękuję za przyjęcie zaproszenia!

Muszę przyznać, że facet potrafił sprawić wrażenie szczerze wdzięcznego za naszą obecność. Zwykle przesadna radość okazywana przez obcych wydaje mi się nieszczera, jednak Maximilian Pardo robił to z taką naturalnością, że jego wdzięczność wydawała się autentyczna.

– Profesorze Castillo – powiedział, uśmiechając się i serdecznie ściskając jego dłoń. – To zaszczyt wreszcie pana poznać.

– Dla mnie również, panie Pardo.

Milioner pokręcił głową.

– Mów mi Max. Wszyscy przyjaciele tak robią.

– Dobrze, Max. Pozwól, że przedstawię ci Cassandrę Brooks i Ulisesa Vidala. To moi przyjaciele, którzy towarzyszyli mi podczas wyprawy do Amazonii. Bez ich pomocy nie byłoby mnie tutaj.

Max wbił swoje niebieskie oczy w zielone tęczówki Cassie i, ściskając jej dłoń, powiedział uwodzicielskim tonem:

– To prawdziwa przyjemność panią gościć, panno Brooks.

– Ja... tak, oczywiście. Miło mi.

Czyżby Cassie się zarumieniła?

– Panie Vidal – powiedział gospodarz, wyciągając rękę na powitanie. – Bardzo dziękuję za przyjęcie zaproszenia. Słyszałem o waszej trójce same niesamowite rzeczy.

Wspaniale – nie dość, że górował nade mną wzrostem, urodą i sprawnością, to jeszcze roztaczał wokół siebie obłędny aromat drogich perfum – mieszankę męskości i pewności siebie.

– Tak, oczywiście, wzajemnie – odparłem, odpowiadając mocnym uściskiem dłoni i usiłując zachować kamienną twarz.

– Obiad zostanie podany za chwilę – oznajmił mężczyzna. – W międzyczasie zapraszam na aperitif i krótką rozmowę. Co Państwo na to?

Profesor zmierzył nas szybkim, badawczym spojrzeniem i skinął głową.

– Tak, oczywiście. Z przyjemnością.

– Świetnie, proszę za mną. – Zaprosił nas gestem i ruszył w stronę sofy w kształcie podkowy.

Niski stolik uginał się pod ciężarem małych talerzyków z niezliczonymi przekąskami, których nazw nie znałem. Jedynie widok czarnego kawioru na wędzonym łososiu upewnił mnie, że mam do czynienia z produktami najwyższej jakości. Wszystko wyglądało niesamowicie apetycznie i mimowolnie zacząłem się ślinić, z trudem powstrzymując burczenie w żołądku – powinienem był zjeść porządne śniadanie.

Gdy zaprosił nas do zajęcia miejsc, każdemu wręczył po szklance z lodem i nalał martini, a następnie rozsiadł się w miękkim, białym, skórzanym fotelu, uśmiechając się szeroko.

– Nie mogłem się doczekać naszego spotkania – powiedział, najwyraźniej starając się sprawiać wrażenie szczerego. – Po występie profesora Castilla w telewizji zacząłem szukać o was informacji i odkryłem kilka interesujących rzeczy. – Pochylił się lekko do przodu. – Na przykład to, że przed waszą... przygodą w Amazonii braliście udział w poszukiwaniach zatopionego statku na Karaibach, a później byliście zamieszani w incydent w Chiapas. Z tego, co wiem, doszło tam do starcia zbrojnego między zapatystami a grupą najemników, w którym zginęło wielu ludzi i zniszczono cenne stanowisko archeologiczne Majów. – Maximilian Pardo oparł łokcie na kolanach i podparł brodę splecionymi dłońmi. – Dobrze pamiętam?

Cassie, profesor i ja wymieniliśmy zaskoczone spojrzenia. Nie spodziewaliśmy się pytania o wydarzenia w Chiapas.

– O co konkretnie chciałby pan zapytać, panie Pardo? – zapytał profesor, odchrząkując. Wyglądał na wyraźnie zaniepokojonego.

Milioner uniósł dłonie w przepraszającym geście.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – zaczął, jakby się usprawiedliwiał. – Nie chcę państwa przesłuchiwać, po prostu jestem ciekaw. To, co o was przeczytałem... no cóż, brzmi dość niewiarygodnie.

– Gdzie pan o nas czytał? – zapytałem zaskoczony. – Nie miałem pojęcia, że ktoś o nas pisał.

– Nie chodzi o książkę – wyjaśnił, machając nonszalancko ręką. – To raczej informacje rozproszone w sieci: drobne dane i metadane, porozrzucane tu i tam. – Zilustrował to gestem, jakby łapał w powietrzu niewidzialne okruchy. – Zebrane, sklasyfikowane i przefiltrowane, dają zaskakująco pełny obraz. W tym przypadku – ostatnich dwóch lat z życia waszej trójki.

– Naprawdę coś takiego jest możliwe? – zapytał z niedowierzaniem profesor.

Max Pardo uśmiechnął się, jakby ktoś zapytał go o coś tak oczywistego, jak to, czy bankier potrafi zarabiać pieniądze.

– Oczywiście – odparł. – Potrzeba potężnej wyszukiwarki i trochę czasu, ale nie jest to szczególnie trudne. Zresztą – dodał – całą pracę wykonała Minerva. Ja ograniczyłem się jedynie do przeczytania streszczenia.

– Minerva? – spytała Cassie.

– Ach, tak, przepraszam, nie przedstawiłem jej. Można powiedzieć, że tworzymy zgrany duet.

– Myślałam, że jest pan kawalerem – zauważyła Cassie. W jej głosie usłyszałem lekkie rozczarowanie, co mi się nie spodobało.

Idealnie białe zęby Maximiliana Parda ponownie rozbłysły w uśmiechu.

– Pozwól, że ją z wami zapoznam – powiedział, odchylając głowę i wodząc wzrokiem po suficie. – Minervo, przywitaj się, proszę, z naszymi gośćmi.

Z niewidocznego głośnika w suficie rozległ się zmysłowy, kobiecy głos.

– Witajcie, jestem Minerva – powiedziała z radością w głosie. – Mam nadzieję, że dobrze się czujecie i smakuje wam aperitif, który dla was przygotowałam. I nie pozwólcie Maxowi zasypywać was pytaniami, potrafi być natrętny.

– No co ty! – zaprotestował Max. – Powinnaś mówić o mnie dobrze.

– Ach, przepraszam – odparła z przekąsem. – Nie sądziłam, że budowanie znajomości na kłamstwie to dobry początek. Chciałam tylko zauważyć, że Max jest dowcipny, interesujący i...

– Wystarczy, Minervo.

– ...kulturalny – dokończyła, akcentując wyraźnie ostatnie słowo. – Chciałam powiedzieć: kulturalny.

Pardo prychnął z irytacją i pokręcił głową.

– No cóż, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie... – urwał, po czym spojrzał na Cassie i zapytał: – Więc na czym skończyliśmy?

Meksykanka wpatrywała się w sufit z szeroko otwartymi oczami, jakby zobaczyła zjawę.

– Kto...? – wyszeptała. – Co to, u licha, było?

– To Minerva, moja asystentka.

– To… maszyna? – upewnił się profesor.

Max zmarszczył nos.

– Nie nazwałbym Minervy maszyną. Jest zbyt wrażliwa, a takie określenie byłoby niesprawiedliwe. Minerva to SI, czyli sztuczna inteligencja.

– Coś w rodzaju Siri z iPhone'a? – zapytałem.

Milioner pokręcił przecząco głową.

– To coś znacznie większego – odparł z satysfakcją, a szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz. – Minerva to mój autorski projekt, nad którym pracowałem przez ostatnie trzy lata. Zainwestowałem w jej rozwój ogromne środki i poświęciłem mnóstwo czasu, angażując najlepszych inżynierów, biologów, fizyków i matematyków. Udało mi się nawet podkupić kilku czołowych specjalistów od sztucznej inteligencji Google'owi i Facebookowi – dodał, mrugając okiem. – Ale było warto. Minerva to nie tylko najbardziej zaawansowana, ale i pierwsza w historii spersonalizowana SI o architekturze neuromorficznej.

– Chce pan przez to powiedzieć – wtrąciłem z niedowierzaniem – że ona została stworzona wyłącznie dla pana użytku?

– Powiedziałbym raczej, że to partnerstwo – sprostował. – Traktuję to jako posiadanie, zawsze pod ręką, piekielnie inteligentnej wspólniczki, która zajmuje się wszystkim, czego nie lubię albo co mnie nudzi. Nie tylko błyskawicznie wyszukuje w Internecie potrzebne informacje, ale też podpowiada optymalne rozwiązania. Co więcej, przewiduje moje potrzeby i na nie reaguje. W zasadzie – zatoczył dłonią krąg, obejmując gestem całe otoczenie – to ona teraz zarządza firmą i robi to sprawniej ode mnie. Przewodniczy radzie akcjonariuszy, pełni funkcję CEO i zasiada w zarządzie. Dzięki temu mam czas na ciekawsze zajęcia, takie jak to, które nas tu sprowadza. No i, co najważniejsze – rozłożył ręce – jest całkowicie lojalna oraz, choć bywa nieco irytująca, ma świetne poczucie humoru.

– No i mam przepiękny głos – zabrzmiało z głośnika. – A skoro już mnie wspominasz, powiedz o mnie wszystko, co trzeba.

Max Pardo skinął głową.

– Wiedząc, że jestem fanem Scarlett Johansson, Minerva samodzielnie zsyntetyzowała jej głos i używa go, by się ze mną komunikować.

– Jak w filmie *Her* – wtrąciła Cassie.

– Dokładnie tak – potwierdził Max. – Tyle że to nie jest system operacyjny dla milionów użytkowników, a raczej… związek monogamiczny. Niemal symbioza inteligencji biologicznej ze sztuczną. Wyobraź sobie, że mam drugi mózg, znacznie szybszy i wydajniejszy.

– Ale czy to nie jest niebezpieczne? – zapytałem. – Powierzanie takiej kontroli maszynie, niezależnie od poziomu jej inteligencji, wydaje mi się ryzykowne.

Max prychnął, jakby słyszał to pytanie setki razy.

– Nigdy wcześniej nie stworzono niczego choćby zbliżonego do Minervy – oznajmił. – Rozumiem pańskie obawy, ale wynikają one z błędnych założeń i uprzedzeń. Nie chodzi o to, że Minerva jest mi wierna, lecz że stanowi integralną… część mnie. – Przyłożył dłoń do piersi. – Jej zdrada jest równie nieprawdopodobna, jak zdrada moich własnych ramion czy uszu.

– Niesamowite – mruknął profesor.

– Nie, drogi przyjacielu – odparł Max z uśmiechem, a jego głos się zmienił. – Prawdziwie niesamowity jest talent Minervy do imitowania głosów polityków i celebrytów w różnych językach. Powinniście usłyszeć, jak dzwoni do firmy perukarskiej w Nowym Jorku, perfekcyjnie udając Donalda Trumpa.

– Szczerze mówiąc, trochę się jej boję – przyznała Cassie, nerwowo rozglądając się dookoła. – Przypomina mi filmy science fiction, w których komputer nagle dostaje świra i zaczyna zabijać ludzi.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła, kochana – zaprotestowała Minerva. – Chyba że mnie obrazisz, zrobisz coś, co mi się nie spodoba, albo po prostu będę miała zły dzień…

– Minervo – upomniał ją Max. – Prosiłem cię, żebyś tak nie żartowała.

– Przepraszam – odparła Minerva. – Sensory wykryły u naszych gości chwilowy wzrost tętna i temperatury. Nie chciałam nikogo przestraszyć.

– Nic... nic się nie stało – wymamrotała Cassie, marszcząc brwi.

– Proszę wybaczyć – dodał Max. – Minerva wciąż kalibruje algorytmy interpretacji mimiki i interakcji społecznych z nieznajomymi. Minervo – zwrócił się do SI cierpliwym tonem – bądź grzeczna i przejdź w tryb cichy, dopóki cię nie zawołam.

– Jasne, szefie – odpowiedziała natychmiast. – Będę w pobliżu, gdyby mnie pan potrzebował.

– Dziękuję.

– Ach, i jeszcze jedno, panno Brooks – dodała, jakby coś sobie przypomniała. – Bardzo podoba mi się pani komplet bielizny. Ten kolor wyjątkowo pani pasuje.

– Minervo, dosyć!

Cassie odruchowo się zasłoniła.

– Przepraszam – rozległ się ponownie głos Scarlett Johansson. – Chciałam tylko być miła. Już znikam. Miło było państwa poznać – pożegnała się, a jej głos powoli cichł w oddali.

Max zwrócił się do wyraźnie zmieszanej Cassie, która siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach.

– Proszę się nią nie przejmować – powiedział. – Ona tak naprawdę nie widzi przez ubranie. To nie żadne promienie rentgenowskie, po prostu... ma specyficzne poczucie humoru.

Cassie wzięła głęboki oddech, rozluźniając nieco ramiona.

– W porządku – powiedziała, choć nie brzmiało to do końca przekonująco.

– Dobrze. – Milioner klasnął w dłonie i wstał. – Coś byście zjedli? Bo ja wprost umieram z głodu. Stół już czeka, więc proponuję zacząć od obiadu, a pogawędkę zostawić na deser, przy kawie. Zgoda? – mrugnął. – Mam nadzieję, że lubicie kuchnię japońską.

Jadalnia, usytuowana w południowo-zachodnim narożniku piętra, oferowała panoramiczny, zapierający dech w piersiach widok na Morze Śródziemne, port i górę Montjuïc. Początkowo czuliśmy

się nieco niezręcznie, obserwując starania Maxa, który, niczym nadgorliwy kelner w japońskiej restauracji, osobiście donosił z kuchni jedzenie i sake. Trudno było nam oswoić się z myślą, że tę oszałamiającą różnorodność ryb i owoców morza serwuje jeden z najbogatszych ludzi w kraju, usilnie starający się sprawiać wrażenie zwyczajnego gospodarza.

Bez wątpienia kryło się za tym coś więcej.

– Jeszcze? – zapytała Meksykanka z niedowierzaniem, widząc, że Max wraca z kuchni z kolejnym talerzem sashimi. – Skąd ty to bierzesz? Masz tam jakąś restaurację?

– Można to tak ująć – odparł z uśmiechem. – Zatrudniłem dwóch japońskich mistrzów sushi, żeby przygotowali dla nas lunch.

– No, niezły luksus – uśmiechnęła się z błyskiem w oku. – Ciekawe, który barceloński restaurator musiał przez nas zamknąć dziś swój interes?

– Barceloński? Żaden. To *itamae* z restauracji Harukoma w Osace – wyjaśnił spokojnie, wycierając usta serwetką. – Przylecieli kilka godzin temu i jeszcze tej samej nocy wracają. Nikt nie kroi sashimi tak jak oni.

Cassie znieruchomiała, otworzywszy usta ze zdziwienia. Porcja nigiri, którą miała właśnie zjeść, zawisła w powietrzu. Profesor omal nie zakrztusił się edamame.

– Taka jest zaleta własnego samolotu – dodał Max, mrugając filuternie.

Po kilku daniach oraz dwóch wypitych dzbankach sake, najedzeni i lekko zamroczeni, wstaliśmy od stołu, po czym przeszliśmy do salonu. Tam każdy z nas przygotował sobie kawę w automatycznym ekspresie przy minibarze. Rozsiedliśmy się na obrzeżach ogromnej sofy w kształcie podkowy, zwróconej w stronę morskiego horyzontu, i zamilkliśmy, obserwując deszcz bębniący o szyby.

– Masz piękny dom – powiedziała Cassie po chwili, odstawiając filiżankę. – Widoki stąd są niesamowite.

– Dziękuję, Cassandro – odparł Max, machając nonszalancko ręką. – Jednym z warunków sprzedaży mojej poprzedniej firmy

było zagwarantowanie mi prawa do korzystania z górnych pięter w nowej siedzibie banku, którą budowaliśmy w mieście. – Rozejrzał się dookoła z satysfakcją. – Kosztowało to majątek, ale bez wątpienia była to świetna inwestycja.

– Jedyne, co mi się nie spodobało – stwierdził profesor – to winda. Te ekrany na ścianach wywoływały u mnie zawroty głowy. Powinien pan zamontować jakieś barierki, choćby dla zwiększenia poczucia bezpieczeństwa. Miałem wrażenie, że zaraz spadnę.

Max Pardo uśmiechnął się.

– W takim razie cieszę się, że nie było pana na parapetówce. Podłoga była ekranem wysokiej rozdzielczości, który na początku wyświetlał obrazy dające iluzję unoszenia się w powietrzu. Efekt był wprawdzie imponujący, ale wielu gości wpadło w panikę i nie chciało korzystać z windy. Ci, którzy się odważyli, docierali do apartamentu zlani zimnym potem. – Skrzywił się z rezygnacją. – Ostatecznie musiałem wyłączyć tę funkcję, zanim doszczętnie zrujnowała mi życie towarzyskie.

Profesor pokiwał głową ze zrozumieniem.

Wtedy Max zwrócił się do mnie.

– Widzę, panie Vidal, że nie jest pan zbyt rozmowny. Przez cały obiad nie odezwał się pan słowem i patrzy pan na mnie tak, jakbym był panu coś dłużny.

– Czekam – odpowiedziałem.

– Czeka pan? Na kogo?

Odstawiłem pustą filiżankę na stół i odparłem:

– Na pana.

– Nie rozumiem.

– Panie Pardo – zacząłem, podkreślając, że nie zamierzam przechodzić na „ty". – Pański wizerunek sympatycznego i swojskiego multimiliardera, który z jednej strony sprowadza kucharzy z drugiego końca świata, by przygotowali mu rybę, a z drugiej sam serwuje jedzenie i nosi ubrania z drugiej ręki, jest mi już znany. Muszę przyznać – bardzo zgrabne połączenie efektowności i uwodzenia, ale na mnie to nie działa.

Pochyliłem się do przodu i dodałem:

– Oczekuję Maximiliana Parda, rekina biznesu, którego zdjęcie widnieje na liście Forbesa.

Przez kilka sekund w salonie panowała cisza. Profesor i Cassie powoli przenieśli wzrok na Maxa. Patrzyli na niego z niepokojem, jakby obawiali się, że zaraz wyrzuci nas z domu, choć ja byłem pewien, że do tego nie dojdzie.

Po chwili napiętego milczenia miliarder wybuchnął śmiechem.

– Widzę, że nie owija pan w bawełnę, panie Vidal. To mi imponuje.

– Świetnie. W takim razie nie będzie panu przeszkadzało, gdy powiem...

– Ulisesie, proszę cię – profesor Castillo uniósł rękę, przerywając mi. – To ja poprosiłem pana Parda o zorganizowanie tego spotkania, więc nie bądźmy nieuprzejmi.

Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale zmarszczone brwi przyjaciela powstrzymały mnie od wypowiedzenia tego, o czym myślałem. Następnie Eduardo zwrócił się do gospodarza:

– Bardzo się cieszymy, że zgodził się pan na spotkanie, panie Pardo. Sądzimy, że nasza propozycja, biorąc pod uwagę pańskie zainteresowanie wyprawą do Czarnego Miasta, okaże się dla pana interesująca.

Maximilian Pardo poszerzył swój firmowy uśmiech, znany z okładek magazynów biznesowych, i rozsiadł się w fotelu, splatając palce.

– Zamieniam się w słuch.

12

Przez ponad godzinę Eduardo i Cassie relacjonowali Maxowi wydarzenia z Amazonii sprzed kilku tygodni, pomijając makabryczne szczegóły i informacje, których na razie nie zamierzali ujawniać.

Po zakończeniu opowieści profesor Castillo opadł na miękki fotel i zamknął oczy, wyczerpany powracaniem myślami do tamtych tygodni, niczym po wyczerpującej sesji terapeutycznej.

W tym czasie Max Pardo niemal się nie poruszył, słuchając z absolutnym skupieniem, jakby wypalał w pamięci każde słowo – co zresztą bez wątpienia robiła Minerva.

Za panoramicznymi oknami gasnące popołudnie przechodziło w zmierzch, a zautomatyzowane oświetlenie stopniowo rozjaśniało wnętrze, płynnie dostosowując się do zapadającej ciemności.

Wreszcie, po chwili namysłu, Max odetchnął głęboko i zwrócił się do profesora.

– Przede wszystkim – powiedział poważnym tonem, dalekim od wesołości okazywanej podczas obiadu – pragnę złożyć panu najszczersze kondolencje.

Eduardo skinął głową w podziękowaniu, mocniej ściskając poręcz fotela.

– Wam trojgu – milioner spojrzał teraz na wszystkich nas siedzących na kanapie – składam wyrazy szczerego uznania za waszą odwagę i męstwo. Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przeszliście. Moje medialne wyczyny, takie jak przejazdy przez Arktykę na psich zaprzęgach czy loty motolotnią nad Afryką, to zaledwie anegdoty w porównaniu z tym, czego dokonaliście. Z pokorą chylę przed wami czoła.

Ten człowiek potrafił zjednywać sobie ludzi. Wbrew mojej woli, z każdą chwilą czułem do niego coraz większą sympatię.

– Jest pan bardzo uprzejmy, señor Pardo – odparł profesor, skinąwszy głową.

– Max – nalegał milioner. – Proszę, mówcie mi Max.

– Jest pan bardzo uprzejmy, Max – powtórzył profesor. – Ale z pewnością zastanawia się pan, po co zadzwoniliśmy i co chcemy panu zaproponować, prawda?

– Spodziewałem się, że sami mi o tym powiecie, kiedy uznacie, że nadszedł odpowiedni moment – odparł, uśmiechając się wyczekująco.

Profesor spojrzał na Cassie, potem na mnie, po czym oznajmił:

– Widzisz, Max... – odchrząknął. – Odkąd upubliczniliśmy informacje o naszej ekspedycji do Amazonii i tamtejszych odkryciach, sytuacja stała się... dość delikatna. Napotkaliśmy nieprzewidziane trudności, co nieco skomplikowało naszą sytuację.

– O co konkretnie chodzi, profesorze?

– Mówiąc wprost, uprzykrzają nam życie – wtrąciłem. – A zwłaszcza im – dodałem, wskazując na towarzyszy. – Przez to wszystko Cassie straciła szansę na karierę w archeologii, a Eduardo stał się pariasem w środowisku akademickim. Napiętnowano ich jako oszustów i poddano zawodowemu linczowi.

– Obawiam się, że powrót do pracy w mojej branży, a prawdopodobnie nawet w jakiejkolwiek innej, gdzie zaufanie odgrywa kluczową rolę, jest praktycznie niemożliwy – stwierdziła Cassie.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy – podsumował profesor. – Jedyną szansą na odzyskanie honoru i oczyszczenie naszego imienia jest zdobycie niepodważalnych dowodów na poparcie naszych słów.

Max pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Chce pan powiedzieć, że zamierzacie wrócić do Czarnego Miasta? – zapytał, ledwo powstrzymując entuzjazm.

Profesor spojrzał na niego z takim zdumieniem, jakby ten przedstawił mu propozycję wyjazdu na misję w Afganistanie.

– Nie, Max! Za żadne skarby świata nie wrócę do tego piekła.

– Nawet gdybyśmy chcieli, nie możemy tego zrobić – dodała Cassie. – Jak już wyjaśnialiśmy, rząd Brazylii nie wyraża na to zgody, a poza tym teren wciąż jest zalany.

– Rozumiem zatem – dopytywał Max, wodząc wzrokiem od profesora do Cassie – że nie planujecie powrotu. Co w takim razie zamierzacie?

– Jest jeszcze jedno miejsce – odparła Meksykanka. – Zanim naziści się wycofali, splądrowali Czarne Miasto. Przypuszczamy, że wiemy, gdzie może znajdować się część zrabowanych wtedy artefaktów.

Zainteresowanie Maxa odżyło, a jego oczy rozbłysły.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem. – Gdzie konkretnie?

– Na wybrzeżu Namibii, na południe od...

– O lokalizacji poinformujemy pana – wtrąciła Cassie – jeśli zdecyduje się pan nam pomóc.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Nie ufacie mi?

– Nie byłoby nas tu, gdybyśmy panu nie ufali – odparłem. – Nie zamierzamy jednak od razu odkrywać wszystkich kart. Jest pan biznesmenem, więc z pewnością wie pan, o co mi chodzi.

Max skinął głową, dając do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z tego, o czym mówię.

– W porządku. Wciąż jednak nie wiem, czego ode mnie oczekujecie.

– Pieniędzy – odparłem bez wahania.

– Konkretnie: dużych pieniędzy – uściśliła Cassie.

– Domyślałem się, że nie przyszliście po poradę. Zatem, o jakiej kwocie rozmawiamy?

Razem z profesorem spojrzeliśmy na Meksykankę.

– Właściwie trudno nam precyzyjnie określić potrzebną kwotę – zaczęła niepewnie Cassie. – Szacujemy ją na około milion euro, być może nawet dwa – dodała, wzruszając ramionami.

W salonie zapadła głucha cisza. Wstrzymaliśmy oddech, czekając na reakcję Maxa, który zdawał się oczekiwać dalszych wyjaśnień.

– Milion, może dwa – powtórzył w końcu Pardo, nie zdradzając, czy kwota ta wydaje mu się wysoka, czy niska. – Rozumiem. A konkretnie potrzebujecie tych środków na...?

– Odkrycie wraku okrętu podwodnego z czasów drugiej wojny światowej. Uważamy, że na jego pokładzie mogą znajdować się artefakty archeologiczne pochodzące z Czarnego Miasta.

Maximilian Pardo zmarszczył brwi, czekając na pointę żartu, która jednak nie nadchodziła.

– Zaraz... mówicie poważnie? Okręt podwodny?

– Nazistowski okręt podwodny, będąc bardziej precyzyjnym – dodał profesor.

– Zatopiony?

– Tak, znajduje się pod wodą – odparłem, na co Cassie natychmiast szturchnęła mnie ostrzegawczo.

Max wydawał się jednak tak zdezorientowany, że chyba nawet nie zarejestrował mojej odpowiedzi.

– Chwila, chwila... – podsumował, splatając palce. – A więc zamierzacie szukać nazistowskiego okrętu podwodnego zatopionego podczas drugiej wojny światowej, bo wierzycie, że ukryto na nim artefakty z Czarnego Miasta?

– Zgadza się – potwierdziłem.

– A miejsca jego spoczynku nie chcecie mi zdradzić z powodu braku zaufania?

– To dość... dosadne ujęcie sprawy – zauważył profesor.

– Czyli oczekujecie, że pożyczę wam na to milion, a może nawet dwa miliony euro?

– Mniej więcej tyle – doprecyzowała Cassie, unosząc palec wskazujący.

Max Pardo złożył dłonie jak do modlitwy i, po długiej chwili namysłu, mruknął:

– Dobrze, pomogę wam.

Zamarliśmy z zaskoczenia. Czy to już koniec? Tak po prostu?

– Ale pod pewnymi warunkami – dodał.

No cóż, nie spodziewałem się, że pójdzie tak gładko.

– Jakimi warunkami? – dopytał Eduardo.

– Chcę, żeby projekt nosił moje nazwisko.

– Pańskie nazwisko? – prychnąłem. – Jak pan sobie to w ogóle wyobraża? „Discovery Max"?

– Chcę, by zapamiętano mnie nie tylko jako sportowca – odparł, ignorując moją uwagę. – Poza tym, firmowanie projektu moim nazwiskiem zapewni mu większe zainteresowanie mediów.

– Naszym celem – oponował profesor – jest udowodnienie istnienia nieznanej cywilizacji, a nie wzbudzenie zainteresowania mediów.

– Może nie waszym – przyznał Max. – Ale moim już tak. Skoro się tego podejmujemy, to na moich warunkach. Nie zamierzam być wyłącznie sponsorem.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał profesor.

– To on rozdaje karty i, jeśli chcemy jego pieniędzy, będziemy musieli grać według jego zasad – wyjaśniłem, posyłając milionerowi wymuszony uśmiech. – Prawda?

– Dość dosadne – odparł Max. – Ale tak, dokładnie o to chodzi. Wy, naukowcy, zyskacie prestiż akademicki, a ja rozgłos medialny. Uważam, że to uczciwy układ.

Spojrzałem na Cassie i profesora. Przytaknęli niemal jednocześnie.

– W porządku – oznajmiłem – ale nalegamy na pisemną umowę.

– Oczywiście – odparł Max, po czym, unosząc wzrok, zwrócił się do Minervy: – Możesz się tym zająć?

– Już się robi – odpowiedziała i niemal natychmiast dodała: – Gotowe. Czy uwzględnić jakieś dodatkowe klauzule lub warunki?

– Tak. Proszę o dodanie ubezpieczenia od wypadków oraz konta na potrzeby osobiste – powiedzmy dziesięć tysięcy euro na osobę – a także trzystu euro dziennie na diety i nieprzewidziane wydatki. – Max spojrzał na nas pytająco. – Czy to wam odpowiada?

Nikt z nas nie odpowiedział od razu, zapewne dlatego, że w pośpiechu przeliczaliśmy w myślach, ile to jest trzysta euro dziennie w skali miesiąca.

– Tak, oczywiście – odparł w końcu profesor. – Uważamy to za… akceptowalne.

– Doskonale. Minervo, proszę to zredagować i wydrukować.

Sekundę później ciche brzęczenie drukarki zasygnalizowało, że umowa jest gotowa do podpisu.

Wszystko działo się tak szybko, że trudno było za tym nadążyć. Widząc zdezorientowane miny przyjaciół, zrozumiałem, że oni również czują się zagubieni.

– Coś was trapi? – spytał Max.

– Nie, tylko... – zaczął profesor. – Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że do podpisania umowy dojdzie od razu.

– Rozumiem. Proszę mi jednak wierzyć, że to najlepsze rozwiązanie dla wszystkich. Oczywiście – dodał uspokajająco – możecie zabrać umowę do domu i przed podpisaniem skonsultować ją z prawnikiem. Potraktujcie to jako formalność, która pozwoli uniknąć ewentualnych nieporozumień w przyszłości.

– Jasne – odparł profesor, kiwając głową z ulgą.

– Wróćmy do tego później – zaproponował Max. – Zastanawiam się nad waszą sytuacją, po tej kompromitacji w środowisku akademickim i zawodowym, o której wspominaliście... – przerwał, mrużąc oczy.

– Nad czym się zastanawiasz? – spytała Cassie, widząc jego wahanie.

– Przepraszam – powiedział, otrząsając się z zamyślenia i potarł brodę. – Zastanawiam się, czy to niefortunne zdarzenie to tylko zbieg okoliczności, czy też kryje się za nim coś więcej.

– Coś więcej? – Meksykanka zmarszczyła brwi, wyraźnie nie rozumiejąc, co mężczyzna ma na myśli.

Max spojrzał w górę.

– Minervo?

– Słucham, Max.

– Czy mogłabyś przygotować przegląd danych internetowych z ostatniego roku, koncentrując się na informacjach dotyczących naszych wspólników i ich osiągnięć? Chciałbym, aby analiza obejmowała przepływ danych, ocenę ich wiarygodności oraz identyfikację występujących trendów.

– Oczywiście. Wolisz listę czy wykres?

– Wykres, proszę.

Zanim zdążyłem się domyślić, co planuje Max, Minerva oznajmiła:

– Gotowe. Wyświetlić na ekranie?

– Dawaj – odparł gospodarz, odwracając się w stronę okna, które zajmowało całą ścianę.

Spodziewałem się ekranu zjeżdżającego z sufitu albo wysuwającego się z podłogi, jak w filmie o Bondzie, ale to, co się stało, przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Ogromna szklana tafla, przez którą jeszcze przed chwilą widzieliśmy miasto, nagle pociemniała, zamieniając się w ekran telewizyjny o wysokości blisko trzech i szerokości pięciu metrów.

Wymsknęło mi się mimowolne „kurwa", co wywołało zadowolony uśmiech Maximiliana Parda.

– Fajne, prawda? – zapytał, puszczając oko.

Otworzyłem usta, żeby przyznać mu rację, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Max ponownie skupił uwagę na ekranie, na którym pojawił się teraz rozległy wykres.

– Oto i on – powiedział. – Hmm... dokładnie tak, jak myślałem.

– Czyli jak? – zapytała Cassie, przenosząc wzrok na slajd. – Co konkretnie ma pan na myśli?

Max wstał i podszedł do okna, jakby ogromny ekran mu nie wystarczał. Odwrócił się do nas, kręcąc głową ze strapioną miną.

– Nie widzicie? – zapytał, wskazując wykres.

– Widzę kolorowe linie – odparł profesor – ale nie wiem, co oznaczają.

Na wykresie przedstawiono siatkę współrzędnych. Oś pozioma obrazowała czas, obejmując okres od trzech miesięcy wstecz do chwili obecnej. Oś pionowa była nieoznaczona. Przez wykres przebiegały trzy kolorowe linie, początkowo wznoszące się łagodnie i biegnące niemal równolegle. Następnie linie gwałtownie zaczęły się rozchodzić: zielona powędrowała w górę, a dwie pozostałe opadły w dół, niemal poza granice wykresu.

– Ten punkt – Max wskazał palcem na miejsce, gdzie zaczynały się linie – oznacza moment waszego powrotu z Czarnego Miasta. Wtedy w sieci i w mediach społecznościowych zaczęły pojawiać się pierwsze, jeszcze nieśmiałe, wzmianki o waszym odkryciu. – Przesunął palcem po zielonej linii. – Później zainteresowanie mediów stopniowo rosło.

– Co znaczą te dwie pozostałe linie? – zapytała Cassie.

– Czerwona linia obrazuje trend komentarzy na temat was i waszego odkrycia, wskazując na przewagę opinii pozytywnych lub negatywnych.

Jego palec wskazał na wykresie linię, która do połowy utrzymywała się na średnim poziomie, a następnie gwałtownie opadała, jakby ktoś ją postrzelił.

– A żółta? – dopytywał profesor, wskazując linię opadającą niemal równolegle do czerwonej.

– Żółta linia wskazuje wiarygodność źródeł – zarówno autorów komentarzy, jak i mediów, w których te komentarze się pojawiają.

– Rozumiem... – mruknął profesor, masując skroń. – Ale wciąż nie do końca to ogarniam.

– Chce pan powiedzieć – spytała Cassie z niedowierzaniem – że media i sieci społecznościowe nagle, bez powodu, zaczęły nas oczerniać?

– I tak, i nie – odparł Max. – Zaczęli was dyskredytować niemal z dnia na dzień, ale nie bez przyczyny.

– Chyba się pogubiłam – powiedziała Meksykanka.

– Widzi pani tę zieloną linię, która gwałtownie poszybowała w górę? – Max wskazał w odpowiednie miejsce na wykresie. – To liczba wzmianek o was trojgu i o Czarnym Mieście w dniu wywiadu telewizyjnego. Przy tak dynamicznym wzroście popularności z pewnością staliście się tematem numer jeden na Twitterze, a wasze nazwiska pojawiły się również na Facebooku, portalach informacyjnych, blogach i na stronach alternatywnych. Tak wykładniczy wzrost nie jest naturalny – dodał, kręcąc głową. – Chyba że ktoś zostaje prezydentem albo strzeli do papieża.

– Chce pan powiedzieć... – zacząłem, już przeczuwając, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Chcę podkreślić – przerwał mi – że ktoś podszedł do waszej sprawy z wyjątkową determinacją. – Wskazał na opadające na wykresie linie i dodał: – Wygenerowano ogromną ilość fałszywych informacji na wasz temat i rozpowszechniono je na

szeroką skalę, wykorzystując wszelkie możliwe kanały, by was zdyskredytować.

– Ale… kto? – wydukał profesor, teraz już blady jak ściana. – Kto to zrobił i… jaki miał w tym cel?

– Minervo – zapytał Max – czy możesz ustalić źródło tych fałszywych wiadomości?

– To była moja pierwsza operacja – odparła sztuczna inteligencja. – A jeśli chodzi o typowych podejrzanych, Max, to na liście znajdują się Ukraina, Rosja, Albania i Filipiny…

– Co, u licha, Filipińczycy mają z nami wspólnego? – wykrzyknął profesor, wstając gwałtownie z fotela. Był równie zdezorientowany, co oburzony. – Przecież pozbyli się nas ponad sto lat temu!

– Proszę się uspokoić, profesorze – powiedziałem, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Jeszcze pan dostanie udaru.

– Jak mam się uspokoić? To skandal! Przecież nawet nie byłem w tych krajach! Czym im zawiniliśmy?!

– Nic się nie stało, Eduardo – wyjaśnił Max. – Nic im nie zrobiłeś, a oni prawdopodobnie nawet nie wiedzą, kim jesteś.

– Nie rozumiem.

– To hakerzy, prawda? – zapytała Cassie.

– Dokładnie. To specjaliści od kłamstw i dezinformacji, mafie, które za pieniądze tworzą i rozpowszechniają złośliwe wiadomości i plotki zdolne zniszczyć każdego. – Skrzywił się. – Niech zapytają Hillary Clinton o wybory w 2016 roku. Wystarczyła garstka hakerów, by wygenerować i rozpowszechnić lawinę kłamstw i absurdów. Potem niektóre media, z różnych pobudek, powtarzały te rewelacje, a miliony internautów bezrefleksyjnie roznosiły je dalej, powielając plotki o tym, że była pierwsza dama trudni się handlem dziećmi lub na dużą skalę dystrybuuje narkotyki. Ludzie powtarzali te kłamstwa tak długo, aż wielu w nie uwierzyło.

– Czyli spotkało nas to samo? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Dokładnie. Możliwe, że zrobili to nawet ci sami hakerzy.

– Ale dlaczego?

– Dla pieniędzy, a jakże.

– Pieniędzy? Jakich znowu pieniędzy? Przecież wszyscy troje jesteśmy bez grosza.

– Oczywiście nie waszych – Pardo odparł z lekkim uśmiechem. – Pieniędzy tego, kto im zapłacił za tę kampanię. To ktoś z zasobami – podkreślił – i bardzo zdeterminowany, byście nigdy więcej nie byli traktowani poważnie.

– A twoja przyjaciółka z sufitu nie może ustalić, kto to jest?

– Przyjaciółka z sufitu ma imię – odparła chłodno dziewczyna, o której mowa. – Pomagam tylko na wyraźną i uprzejmą prośbę.

– Dobrze, Minervo – odparł Max uspokajającym tonem, unosząc dłoń, a następnie zwrócił się do mnie: – Niestety, ustalenie tego jest niemożliwe. Przelewy w kryptowalutach są praktycznie nie do namierzenia, więc dalsze drążenie tematu nie ma sensu.

– W takim razie co teraz? – zapytał profesor. – Co możemy zrobić, żeby się tego dowiedzieć?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Czy ktoś z was ostatnio komuś się poważnie naraził?

Profesor Castillo prychnął mimowolnie, a Cassie przewróciła oczami.

– Wymieniać alfabetycznie czy chronologicznie? – zapytałem, uśmiechając się gorzko.

– Kto miałby dość pieniędzy, by zorganizować kampanię na taką skalę? – dopytywał Max.

Tutaj krąg podejrzanych zawężał się dramatycznie – w zasadzie do jednej osoby.

– Luziano Queiroz – powiedziała Cassie, jakby czytała w moich myślach. – Prezes AZS, firmy odpowiedzialnej za budowę tamy, która doprowadziła do zalania Czarnego Miasta.

– To musi być on – przyznał profesor. – Człowiek pozbawiony skrupułów, a to my jesteśmy odpowiedzialni za powstrzymanie jego projektu.

– Nie zapominajmy – wtrąciła Cassie, wskazując na mnie – że wmówiłeś mu, iż go otrułeś.

– Otrułeś go? – spytał Max, zaskoczony.

– To długa historia – machnąłem ręką. – W każdym razie wszystko wskazuje na to, że to on.

– Co miałby zyskać, robiąc nam coś takiego? – zapytał profesor.

– Poza zemstą? – wtrąciła Cassie.

– Gdyby chciał się zemścić, wynająłby zabójcę – zauważył Max. – Byłoby taniej.

– Być może wierzy – zacząłem – że dyskredytując nas, sprawi, iż Czarne Miasto zostanie zapomniane, a on będzie mógł kontynuować budowę tamy.

– Nie jestem pewien, czy mamy aż tak duże znaczenie – zaprotestował profesor. – Odkrycie zostało już upublicznione, choć nie spotkało się z większym zainteresowaniem. Wcześniej czy później znajdą się inne osoby i instytucje, które się nim zainteresują. Rząd brazylijski zapewne zniesie zakaz, a wtedy ktoś uda się na miejsce, aby zweryfikować nasze ustalenia.

– Chyba że do tego czasu woda ponownie zaleje okolicę i miasto znowu znajdzie się pod wodą. Pamiętajcie, że poza garstką Indian Menkragnoti tylko nasza trójka widziała Czarne Miasto. – Spojrzałem na nich i dodałem: – Przynajmniej z tych, którzy jeszcze żyją.

– Co sugerujesz? – zapytał zaniepokojony profesor.

– Nie, Ulisesie – odparła Cassie. – Jak twierdzi Max, gdyby Queiroz chciał nas zabić, żeby wyeliminować świadków, wynająłby zabójcę. Byłoby to tańsze.

– A może kampania dyskredytacji – zasugerowałem, czując chłodny dreszcz na plecach – to tylko pierwszy krok?

– Pierwszy krok? – zapytał Eduardo. – Dokąd?

– Ku zapomnieniu, profesorze. By kiedyś, gdy ktoś wymieni nasze nazwiska, uczynił to jedynie po to, by nazwać nas kłamcami.

– I żeby nikt nie zadawał niewygodnych pytań – podsumowała cicho Meksykanka – gdybyśmy kiedyś zniknęli w niewyjaśnionych okolicznościach.

13

Profesor, Cassie i ja zamilkliśmy, w tej samej chwili pojmując powagę naszej sytuacji. Choć to wciąż były tylko spekulacje, wszystkie elementy układanki zdawały się do siebie pasować.

Jak mawiała moja matka: jeśli coś wygląda jak kaczka, pływa jak kaczka i kwacze jak kaczka...

– Mogę wam pomóc – odezwał się nagle Max.

Podnieśliśmy głowy równocześnie, zaskoczeni jego nagłą propozycją.

– Pomóc nam? – zapytał profesor, a w jego głosie pobrzmiewał niepokój. – Jak zamierza pan to zrobić?

– Przede wszystkim zapewnię wam osobistą ochronę. Mój sprawny zespół prywatnych ochroniarzy zaopiekuje się wami do czasu naszego wyjazdu.

– Ochroniarze? – Cassie niemal krzyknęła. – Absolutnie! Nie wiem jak wy, ale ja nie chcę, żeby jakiś goryl deptał mi po piętach.

– Proszę się nie martwić – odparł cierpliwie Max. – Będą dyskretni, praktycznie niezauważalni.

– I tak nie mamy wyboru, Cassandro – wtrącił profesor. – Skoro Queiroz macza w tym palce, nie możemy odrzucić propozycji pana Parda.

– Zgadza się – przyznałem, po czym spojrzałem Maxowi prosto w oczy. – Zastanawiam się tylko, czego pan oczekuje w zamian.

– Zawsze jest pan taki nieufny? – zapytał.

– *Timeo Danaos et dona ferentes* – odparłem.

– Co to znaczy? To jakiś łaciński cytat z Biblii?

– To fragment ze starogreckiej *Iliady* – wyjaśniłem, pomijając fakt, że to jedyne słowa, jakie znam w tym języku. – Oznacza to: „Boję się Greków, nawet gdy przynoszą dary".

– Ale to nie prezent – zaprotestował, unosząc palec. – Po prostu zabezpieczam swoją inwestycję.

– Czyli jesteśmy pańską inwestycją? A ja myślałem, że jesteśmy partnerami.

– Ulisesie – upomniał mnie cicho profesor. – Proszę cię…

Uśmiech zniknął z twarzy Maximiliana Parda, który momentalnie spoważniał.

– Nie łudźcie się – powiedział poważnym tonem, pochylając się lekko i splatając dłonie na kolanach. – Nie kieruje mną sympatia ani wielkoduszność, a wyłącznie własny interes. Jesteście moją szansą na zapisanie się w historii, w podręcznikach, a nie brukowcach. Jeśli zawiedziecie, zaprzepaszczę tę szansę i ja. – Spojrzał na nas chłodno, nieruchomym wzrokiem. – Rozumiecie?

– Bardzo dobrze – odpowiedział profesor.

– Doskonale – odparł, a jego twarz złagodniała. – Od teraz jesteście pod moją ochroną, ale musicie przestrzegać kilku zasad bezpieczeństwa.

– Zgoda – odparła Meksykanka, krzyżując ramiona na piersi, co zdradzało jej niezadowolenie. – Ale nie możemy przecież wiecznie żyć pod ochroną.

– Oczywiście, że nie. To tylko rozwiązanie tymczasowe, dopóki nie uporamy się z problemem na stałe.

– A jak mamy to zrobić?

– Odpowiedź jest, jak sądzę, oczywista – wyjaśnił, splatając dłonie na karku.

I rzeczywiście, miał rację.

– Znajdując dowody, które niepodważalnie potwierdzą istnienie Czarnego Miasta – dodałem.

Na te słowa Max Pardo uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie tak – powiedział, mrugając porozumiewawczo. – Kiedy istnienie Czarnego Miasta zostanie oficjalnie potwierdzone,

wasze zeznania stracą na znaczeniu i nikt nie będzie miał powodu, by was uciszać.

– Odzyskalibyśmy prestiż… – zauważył profesor.

– …i ocalili życie – dokończyła cicho Cassie.

– Z tego, co rozumiem – dodał Max – zdobycie tych dowodów to nie tylko wasza najlepsza, ale wręcz jedyna szansa.

– Pan Pardo ma rację – stwierdził profesor, spoglądając z powagą na mnie i Cassie. – Musimy odnaleźć ten okręt podwodny.

Powoli skinęliśmy głowami.

Przestało to być już kwestią wyłącznie zawodowej reputacji – stało się sprawą życia i śmierci.

W ciągu kilku godzin przestaliśmy być petentami proszącymi Maximiliana Parda o pieniądze i staliśmy się od niego całkowicie zależni w walce o przetrwanie. Co gorsza, wydawało się, że sytuacja nie pozostawia nam żadnego wyboru.

– Zgadzamy się – powiedział profesor, wstając i wyciągając dłoń do gospodarza.

– Wspaniale! – odparł Pardo, ściskając dłoń profesora obiema rękami. – Razem dokonamy wielkich rzeczy, zobaczy pan!

– Jestem o tym przekonany – przytaknął Eduardo, zarażony jego entuzjazmem.

– Czyli… – wtrąciła Cassie, zaskoczona nagłym obrotem spraw. – To już wszystko? Ruszamy szukać okrętu podwodnego?

– Oczywiście – potwierdził Max, dodając z łobuzerskim uśmiechem: – Założę się, że Namibia o tej porze roku jest przepiękna.